N. 3. WARSZAWA d. 8 (20) Stycznia 1872 ROKU

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

PARYŻ W AMERYCE

DZIEŁO

EDWARDA LABOULAYE'A

PRZEJRZANE

przez **Elizę Orzeszkową.**

(Dalszy ciąg.)

W obszernych a zajmujących rozdziałach zajmuje się prasą amerykańską. Charakterystyczne i wielce pouczające są rozmowy i sprzeczki, jakie wiedzie francuz przyzwyczajony do obłudnéj i przekupnéj prasy swego kraju, z dziennikarzem amerykańskim pojmującym swój zawód jako posłannictwo, a siebie jako kapłana prawdy.

— Przyznaj pan powiada pierwszy, że są na świecie prawdy, które stają się wstrętne tym, którym są wypowiedziane.

— Jeżeli trzeźwią upojonych albo obudzają zgryzoty sumienia.

— I takie są jeszcze, które zastraszają niebezpieczeństwem tych, co by je wypowiedzieć chcieli.

— Jeżeli ci ostatni mają serca niewolników lub tchórzów.

— Jakto! woła daléj amerykański dziennikarz, albo nie czujesz, że dla ludzkości prawda jest życiem a fałsz śmiercią!

Przypatrz się wielkości Anglji, potędze Ameryki, rozpoczynającemu się wzrastaniu Australji. Jaka siła w przeciągu 80-ciu lat przeniosła ludność St. Zjednoczonych od trzech do trzydziestu milijonów mieszkańcow? Nie łudź się próżno; siłą tą była prawda. Czemże są szkoły, stowarzyszenia, trybuna i prasa, jeśli nie narzędziami do roznoszenia prawdy i do zyskiwania jéj serc wszystkich? Porachuj dzienniki jakiego narodu, a będziesz miał miarę stopnia jego cywilizacji; jest to termometr, który nigdy nie myli. Dla czego tak jest? Bo prawda jest niczem innem jak prawem, które rządzi światem moralnym, bo pomiędzy ludźmi jak pomiędzy nieożywionemi przedmiotami są przyrodzone stosunki, których zapoznawać nie wolno!

— Kochany panie, odpowiada Francuz, bywają prawdy prześliczne zdaleka, a które ulatniają się gdy się ich dotkniesz. Codziennie słyszę o tem, że są sobie równi, że kobieta jest równym mężczyźnie człowiekiem, że rządy istnieją dla ludów a nie ludy dla rządów i w teorji sam o tych prawdach nie wątpię. Ale niechno tylko ludzie poprobują te piękne zasady w praktykę wprowadzać, do czego dojdą?

— Do panowania Ewangelji; odpowiada dziennikarz.

Po dwóch dniach pobytu w Ameryce Francuz zaczyna się chwiać w przekonaniach wyniesionych z ojczystego kraju, czuje że duch amerykański przenika stopniowo jego istotę. Twardo jednak upiera się przy swojem.

— Miałżem porzucić wiarę jaką natchnęli mię mistrze méj młodości?

Rozmyśla. Wszak kiedy człowiek raz już urodzi się w błędzie, to później jeśli sumienie radzi błąd ten porzucić, to honor trwać w nim rozkazuje, a honorowi tylko Francuz posłusznym być winien! Pozwolił bym się raczéj porąbać niżbym wyznał publicznie, że Jankessy mają słuszność, a jednak w głębi duszy czułem, żem stracił pierwotną mą niewinność.

Po pewnéj nocy spędzonéj na tak niespokojnych rozmyślaniach i walkach z budzącem się sumieniem i poczuciem prawdy, doktór Schmidt otwierając okno sypialni, spostrzega miasto całe wrzące ruchem wyborczym. Wybiega na ulicę i dowiaduje się, że został umieszczony na liście kandydatów. Zrazu opiera się według zwyczaju swego temu, co mu się wydaje niegodnem jego wysokiego w społeczności położenia. Powoli jednak podlega powszechnemu wzruszeniu i puszcza się za ogólnym prądem. Ambicja go przejmuje, a serce ojcowskie nie mało przyczynia się do tego, bo ukochana jego Zuzanna wydobywa z kieszonki fartuszka dziennik, i z objawami radości pokazuje ojcu wydrukowane w szpaltach jego imię, jako kandydata na urząd inspektora dróg i ulic.

— A cóż to za kraj w którym zakochana dziewczyna czyta dzienniki i zajmuje się biegiem wyborów! woła doktór Schmidt i zdjęty już całkiem żądzą utrzymania swéj kandydatury rzuca się w tłum. Ale i w téj okoliczności nie przestaje być Francuzem i pełni swą rolę kandydata po francuzku, to jest pochlebiając wyborcom, głosząc ich miłość własną i zasypując ich obietnicami jakby z rogu obfitości sypanemi.

— Pomimo słabości wzroku, opowiada, o sto kroków poznawałem wyborców w ludziach, których nigdy przedtem nie widziałem; wyciskałem z różnych zakątków mego mózgu historję ludzi, z którymi nigdy przedtem nie zamieniałem ani słowa, i nietylko ich historję ale historją ich żon, dzieci ojców, praojców i powinowatych. Rzucałem obietnice i uściski dłoni na prawo i lewo. Poufały z maluczkiemi, pokrewny względem wielkich, przyrzekłem prostować wszystkie krzywdy i naprawiać wszystkie braki. Cyceron ubiegający się o konsulat, nie był z pewnością ani wymowniejszym, ani bardziéj wspaniałomyślnym i serdecznym odemnie.

Inaczéj postępowali kandydaci amerykanie. Ale i cóż w tem dziwnego? Jakiś tam właściciel korzennego sklepu nie mógł otrzymać tak wysokiéj edukacji społecznéj, żeby aż posiąść sztukę igrania z rze-

czami i ludźmi. Ani pochlebiania tłumowi, ani żadnego z tych przyrzeczeń które giną z wiatrem, ani tych kłamstw przyjemnych będących fajerwerkiem koniecznie oświetlającym wybory—nic z tego wszystkiego nie używał Green właściciel sklepu korzennego i kandydat na sędziego pokoju. Jeśli uścisnął komu rękę w milczeniu albo wyrzekł sucho: Postaram się jak najlepiej spełnić me obowiązki, sądził że wszystkiego dokonał co do niego należało. Gdy mu wyrzucałem tę stoicką obojętność na sprawę kandydatury, odpowiedział.

Sumienie wzbrania mi postępować inaczéj, nie mogę przyrzekać tego czegobym dotrzymać nie zdołał!

Sumienie u kandydata! To skrupuł prawdziwie godny handlarza! Kto pragnie fortuny i karjery, sumienie powinien zamknąć na dwa spusty w wigilję wyborów, a i nazajutrz niezawsze wypada udzielać mu prawo głosu. We Francyi każdy wie o tem.

Tymczasem jeśli pochlebienie i uniżoność nie popłaca w Ameryce i nie jest nawet wcale w użyciu, to głośna propaganda idei i jawne a otwarte popieranie swych interesów, nie wzbronione jest nikomu. Wczasie wyborów na każdym kroku zbierają się liczne tłumy, a kandydaci do urzędów lub ich poplecznicy, przemawiają do nich i starają się pozyskać je sobie wymową. Doktór Schmidt w zapale swym i pragnieniu otrzymania urzędu, pragnąłby także środka tego wielce popularnego użyć na poparcie swéj sprawy tembardziéj, że przeciwnik jego ma dzielnego poplecznika w niejakim adwokacie, który wymową swą zachwyca zebranie wyborców i przeważa szalę opinji publicznéj na korzyść tego za kim przemawia. Francuz pała żądzą powiedzenia także czegokolwiek i odparcia argumentów przeciwnika, już nawet powstaje aby przemówić, już oczy tłumu zwracają się na niego, ale nagle ogarnia go nieprzezwyciężona bojaźliwość, drżą mu nogi i ręce, język się plącze w ustach, ani słowa wymówić nie jest zdolen. Niestety! nie przywykł do publicznego przemawiania; z rozpaczą przypomina sobie, że należy do narodu o ustach zamkniętych.... Już złośliwa uwaga zgromadzenia zaczyna zwracać się na jego śmiesznie strwożoną postać, już tu i owdzie słychać gwizdania pogardy i pośmiewiska, gdy nagle na trybunę wskakuje siedmnastoletni syn jego i przemawia w imieniu ojca. Przemawia on tak jak młody Amerykanin, który od dzieciństwa kształcił się na obywatela swego kraju, na dzielnego obrońcę prawdy, tak czynem jak słowem. W mowie jego gęsto rozsypana sól attycka wzbudza od razu sympatją w słuchaczach, a jędrny sposób wysłowienia się i młodzieńcza ognistość wyrażeń, zyskują mu powszechną uwagę i poklask. Przy końcu nie ma już w audytoryum ani jednéj duszy, któraby się nie zlała z duszą młodego mówcy, a gdy zstępuje z trybuny, tłum porywa go w objęcia i wszystkie głosy oddają kandydaturę jego ojcu. Na widok tryumfu syna, któremu winien tryumf własnéj sprawy, doktór Schmidt płacze z radości, ale przypominając sobie przedchwilną swą nieudolność i wstydząc się głęboko roli niemego niewolnika, jaką odegrał, wzdycha i mówi do siebie:

— Niestety! dla czegoż nie jestem moim panem synem!

Po powrocie do domu nie może wstrzymać się od zapytania młodego Cycerona.

— No, no, kochany śmiałku i gdzieżeś się to nauczył tego pięknego krasomóstwa, téj deklamacyi gestykulacyi i innych sztuk podobnych?

— W szkole mój ojcze! odpowiada młody Henryk.

— I wszyscy twoi towarzysze tak samo gadać umieją?

— Naturalnie ojcze. Pięknyż by to był naród złożony z niemych obywateli! Mówić i gestykulować potrzebujemy tyle co czytać i pisać. Każdy z nas będzie przecie coś znaczył w państwie, gminie społeczności. Jako członkowie meetingów lub stowarzyszeń, jako wyborcy, kandydaci, urzędnicy i senatorowie wszyscy prędzéj czy późniéj musimy przemawiać publicznie. Zresztą: improwizowanie jest rzeczą łatwą i zajmującą. Dysputy stanowią najmilszą naszą zabawę w godzinach rekreacji, a ja ułożyłem już w mojem życiu przynajmniéj sto mów do przyszłych moich wyborców.

Patrzyłem na to dziecko, opowiada doktór Schmidt, i w obec téj przedwczesnéj dojrzałości, która jest owocem niezdrowego wychowania, czułem się niesłychanie zawstydzony moją niemożnością poruszenia, choćby jednym palcem i obrócenia choćby raz językiem w ustach. Zresztą syn mój nie był żadnym fenomenem a tylko młodym Jankessem bardzo zręcznie wytresowanym.

—Nieszczęśliwe dziecko! rzekłem do niego, i na cóż ci się przyda ta umiejętność błazeńska, skoro wybierasz się do Indji? Gdybyś to jeszcze miał zostać adwokatem....

— Będę nim z czasem mój ojcze, odpowiada Henryk. Niech tylko zarobię tam z dziesięć tysięcy dolarów, a jak wrócę odbędę kurs prawny i wejdę we współkę z jaką znakomitością w adwokaturze...

— A potem? spytałem przerażony tą wczesną ambicją.

— A potem ojcze postaram się zostać deputowanym w Stanie Messachusett i będę senatorem.

— A potem?

— A potem zostanę deputowanym w samym kongresie i senatorem całéj Unji...

— A potem?

— A potem postaram się być ministrem jak p. Sevard, a jeśli mi się to nie uda, prezydentem St. Zjednoczonych jak pan Linkoln...

— A potem zawołałem; zapragniesz zapewne posady Lucypera, bo masz ambicję i pychę szatana!

— Ojcze, odrzekł młody chłopak ze zdziwieniem, wszyscy rówiennicy moi są do mnie w tym względzie podobni. Nauczyciele nasi powiadają nam zawsze, że jesteśmy nadzieją ojczyzny i że kraj wymaga i potrzebuje naszych usług. Pragnienie karjery politycznéj nie jest ambicją, ale obowiązkiem, i obywatel który jak najdalej zajść może na téj drodze, najdzielniéj służy swemu krajowi.

Niepodobna było wybitniéj przedstawić żywotności Amerykanów i obfitości dróg, jaka się im przy pierwszem wstąpieniu w świat przedstawia jak tym obrazem młodego człowieka pełnego życia i nadziei, pełnego wiary w ustawy swego kraju i siły własne. Nie darmo ktoś powiedział, że jeśli tylko podobnem jest dostanie się na księżyc, to Amerykanie będą tam niezawodnie pierwszymi gośćmi!

(d. c. n.)

Korespondencja ze Lwowa.

(Dokończenie.)

U nas we Lwowie najłatwiéj przez noc urość na wielkiego człowieka, więc redakcja Świtu, zbyt wcześnéj doczekała się apoteozy, na którą dopiero zasłużyć sobie ma. Reklamę tę zawdzięcza Świt głównie temu faktowi, że lwowska młodzież akademicka podobno nie zbyt jest pochopną do pracy na polu naukowem, więc wszelki z jej grona pochodzący choćby nawet fałszywy objaw pracy, obudza w dziennikarstwie sympatję i wywołuje bardzo górnolotne reklamy. Nadto jeszcze dziennikarze zwątpiwszy o powodzeniu pism literackich we Lwowie, korzystają z téj sposobności, ażeby publiczność obudzić ze wstrętu do czytania, przyrzekają jéj najuroczyściéj, że siły, energja, nauka i talent młodych ludzi potrafią pokonać wszelkie trudności i ustalić byt organu literackiego.

Pozwolę sobie w téj sprawie zasadniczéj a u nas bardzo spornéj, zrobić kilka uwag o korzyściach i stosowności pism redagowanych przez akademików. Właściwie kwestja ta niepowinna już być sporną, bo przed kilku laty wydawali już tutejsi akademicy pismo naukowe, które rychło upadło i nie ziściło ani jednéj nadziei do jego istnienia przywiązanéj.

Zachodzi tu najpierw kwestja, czy Świt będzie wyłącznym organem akademików piszących, czy też zechce skupić około siebie szersze grono literatów i uczonych. Jeżeli Świt ma być tylko depozytem prac literackich dyletantów, to pomysł jego wydawania uważać można za krok bardzo fałszywy a nawet szkodliwy. Dobre bowiem artykuły początkujących pisarzy, umieści chętnie każde inne pismo, a lichych rzeczy mamy już tak dużo i tak dużo ich przybywa, że dla nich choćby przez wzgląd na utrapioną ludzkość, nie godzi się zakładać osobnego organu. Wprawdzie powiedzą nam, że młodzi pisarze nie z taką śmiałością debiutować mogą w innych pismach, i ten brak śmiałości pozwala zgnuśnieć niejednemu talentowi. Jestto twierdzenie oklepane wprawdzie aż nadto, ale wcale nieuzasadnione. Wszyscy nasi utalentowani autorowie rozpoczynali zawód pisarski pod okiem starszych i dojrzałych literatów, i ten dozór ścisły a życzliwy, ułatwił im niezawodnie ich karjerę. Gdyby ci pisarze wyłamali byli się za młodu z pod oka i rady starszych swoich przewodników, i mieli pod ręką pismo redagowane przez kolegów, którzy przecież nie potrafią, a przez wzgląd na koleżeństwo bardzo często nawet, nie zechcą ocenić należycie pracy współpracownika-kolegi, karjera ich nie byłaby tak świetną, bo za młodu byliby nawykli do pobieżności, nierozwagi i tym podobnych narowów. Zresztą redakcja młodziutka, krytykująca, przyjmująca albo odrzucająca prace swoich kolegów, budzi niezawodnie wrażenie śmieszne a nawet słuszną niechęć.

Jeżeli zaś Świt stać się ma organem naukowo-literackim w całem tego słowa znaczeniu, to nie widzimy powodu dla którego wróżyć by mu można dłuższe i szczęśliwsze powodzenie niż innym nowo-założonym pismom literackim. Niezawodnie pismo redagowane przez młodych ludzi, znajdzie chętniejszą pomoc u starszych pisarzy, ale w takim razie redakcja jest zbyteczną. Trudno bowiem przypuścić, ażeby młodzi panowie redaktorowie zechcieli w takim razie wykonywać wszystkie obowiązki redakcji, i korzystać z wszystkich praw do tego stanowiska przywiązanych w obec prac znakomitych swoich współpracowników. Nic im tedy innego nie pozostanie, jak dopilnowanie druku i korekty, a na to szkoda młodych sił i młodych talentów, które przecież mają daleko i szersze i świetniejsze pole do popisu.

Najwięksi zwolennicy redakcji złożonych z młodych akademików, przyznają nam niezawodnie, że zadanie redaktora ściśle i sumiennie wykonywane, wymaga wiele nauki i doświadczenia, na czem młodym ludziom zawsze i koniecznie zbywać musi. Do tego zważyć także należy, że te rozliczne i dotkliwe kłopoty towarzyszące nieodzownie że tak powiem mechanicznéj części zajęć redaktorskich, są nieszkodliwemi tylko dla talentów wyrobionych i zahartowanych, a młody umysł nazbyt silnie przygniatają i wywołują nader wczesne zniechęcenie do poważnéj pracy.

Zastrzegamy się przeciw przypuszczalnym zarzutom nieżyczliwości dla nowego pisma i jego młodziutkiéj redakcji. Daj Boże by Świt był istotnie świtem na polu literackiego ruchu we Lwowie, ale to nie przeszkadza nam wcale powątpiewać o trafności pomysłu i słuszności argumentów, na których opierają się niesłychanie przesadzone reklamy niektórych dzienników tutejszych.

Nowych książek nie wiele przyniósł nam schyłek ubiegłego i początek Nowego roku. W Poznaniu wyszły dwa dzieła galicyjskich literatów: *Historja siwego włosa* powieść Władysława Łozińskiego i pamiętnikowe opowiadanie K. S. Bodzantowicza (Sufczyńskiego), który znany jest już jako autor kilku bardzo pięknych obrazków historycznych. We Lwowie wydał p. Aureli Urbański tomik poezji p. n. *Szare ptaszę*. Autor znany jest już z kilku komedyjek przedstawionych na scenie lwowskiéj. Zbiorek poezji, który tylko dzięki różnym sztuczkom typograficznym urósł do rozmiarów książeczki, a jest właściwie bardzo skąpy, znalazł nadzwyczaj przychylne przyjęcie w fejletonie jednego z lwowskich pism codziennych, które w ostatnich czasach z wielkiem upodobaniem, a ku niemałemu zdziwieniu czytającéj publiczności, odkrywa w naszym ubogim Lwowie mnóstwo genialnych ludzi i znakomitych pisarzy. Pismo to unosi się nad szarem ptaszęciem i nie szczędzi pochwał najszumniejszych. Bezstronna krytyka nie może odmówić p. Aurelemu Urbańskiemu dość wyrobionéj łatwości w wierszowaniu, ale zaprotestować powinna przeciw takiemu przecenieniu rzeczy wcale nieszczególnych. Ze zbiorku tego najlepszemi są jeszcze dawniejsze utwory drukowane po raz drugi a dowodzące, że autor ma talent, który na poziomych próbach fraszek dramatycznych stracił dawniejszy polot i nie rozwija się wcale. Poezyjki z datą późniejszą umieszczone w tym zbiorku, są to po większéj części deklamacje na nutę oklepaną. Nawet forma nie zawsze jest oryginalną i przypomina mianowicie w jednym poemacie zanadto silnie poezye Ely (Jana Stożka). W chwili tak ubogiéj w utwory poetyczne wyższéj wartości, mógł zbiorek poezji p. Aurelego Urbańskiego zwrócić na siebie uwagę, gdyż posiada niezawodnie pewne zalety, ale pochwał, jakiemi obsypał go ów fejletonista, nawet sam autor na serjo brać nie może i nie powinien.

Pan A. Urbański w ubiegłym miesiącu obdarzył nas świeżą trzyaktową komedją p. n. *Huragan*. Po przedstawieniu téj komedji napisał jeden z tutejszych dzienników następującą recenzję: Wczoraj przedstawiono na scenie lwowskiéj *Huragan* oryginalne głupstwo w trzech aktach napisane przez itd. Najwięksi wielbiciele autora czytając tę recenzję, gorszyli się jedynie zbyt dosadną formą krytyki, która jednakże ma tę zaletę, iż zdoła może przywieść p. A. Urbańskiego do przekonania, że jego gorączkowy pośpiech w produkcji dramatycznéj, osłabia widocznie talent niezaprzeczony.

Z p. Miłaszewskim rachunek jeszcze nieskończony, ale bliski pomyślnego dla publiczności lwowskiéj załatwienia. Najdaléj do końca bieżącego roku skończy się gospodarka p. Miłaszewskiego. Niepodobna było usunąć dyrekcję niedołężną już w r. 1872, gdyż warunki postawione przez p. Miłaszewskiego w formie wynagrodzenia za dobrowolne ustąpienie, były z taką śmiałością przesadzone, że zarząd fundacji dla wdów i sierot ani słuchać tego nie mógł. Jednoroczne dyrektorstwo p. Miłaszewskiego zniesie Lwów chętnie, skoro tem ocali kilkanaście tysięcy funduszu Skarbkowskiego i ma pewność, że niebawem doczeka się lepszéj dyrekcji. Zresztą po zniesieniu przywileju teatralnego, p. Miłaszewski przestał już być wyłącznym panem sceny lwowskiéj, więc powstać może i niezawodnie powstanie w tym roku drugi teatr, który zajmie wieczory, przeznaczone dotąd dla przedstawień niemieckich. Nadto zakłada jak słychać p. Stanisław Dobrzański dyrektor sceny poznańskiéj teatr letni i niebawem rozpocznie budowę na wzór teatru letniego we Wrocławiu.

Równocześnie z dogorywaniem niedołężnéj dyrekcji teatru, zachwiało się stanowisko głównego jéj protektora kuratora fundacji Skarbkowskiéj księcia Karola Jabłonowskiego, któremu Dziennik Polski cyframi wykazał niedołężne a nawet wprost nieuczciwe administrowanie kolosalnéj fundacji Skarbkowskiéj. Zły zarząd sprawił, że fundacja wyposażona milionami i mająca tak szlachetne cele dotąd w życie nie weszła.

Artykuły te Dziennika Polskiego znalazły tem większą wiarę, że oddawna już chociaż nieśmiało utyskiwano na niedołęztwo zarządu, a nadto dziennik, który tak śmiało odezwał się, związany był dotąd węzłem zagadkowéj sympatji ze znienawidzoną dyrekcją teatru, a tem samem niebyłby bez słusznych podstaw targnął się na jéj głównego protektora.

Tegoroczne odczyty dla kobiet nie budzą takiego zajęcia jak odczyty z ubiegłego roku. Podobno i liczba słuchaczek nie jest zbyt liczna. Odczyty pani Felicji Wasilewskiéj zjednały sobie największą pochwałę.

Br. Ł.

Pogadanka.

Z każdą odwilżą w zimie, Warszawa niezmiernie zmienia swoje oblicze. Gdy śnieg sypnie a mróz w dobre weźmie go kleszcze, zgiełk, trajkot i wrzawa cichną, jakby w ziemię zapadły, a miejsce ich zastępuje brzęk sanek, skrzyp śniegu, wołania woźniców, stukot sanic i szmer licznych przechodniów, pootulonych w futra i paltoty. Ze zmniejszeniem się zimna natychmiast powstaje kapanina tak na chodnikach jak i samych ulicach, hałas się wzmaga, przejazdy zapychają, zgiełk powiększa, a gdy nastąpi zupełna odwilż i przewlecze na dni kilka, przejście i jazda tak zostają utrudzone, że trzeba być koniecznie w normalnym stanie siły i zdrowia, aby idąc nie potknąć się i nie nakręcić karku, a jadąc nie otrząść się i w budzie powozu nie wybić dziury głową. O sińcach, kuksach, wzajemnych popychaniach to już nie ma co mówić, brnąć zaś przez ulicę, po wypukłościach wydeptanych i sterczących jak szczyty gór nad morskim poziomem, bez gimnastyki nic nie zrobi, na pierwszym zaraz kroku wpada się w otchłań po kolana lub traci równowagę z głośnym och! okrzykiem. Dawniéj stróże wyrębywali na przejściach podobne przeszkody i usuwali je spychając na środek ulicy, dziś zapomniano o tem przez wzgląd zapewne na porę karnawałową, w któréj wiele się wybacza, a na wiele nie zważa zupełnie.

Po wsiach porę tę zwykle nazywają zapustami, zapewne od pustot jakim się w rozweseleniu powszechnie oddawano. Po miastach od lat dawnych czczą ją mianem kar....nawału. Co lepsze? nie wiem, bo można być i pustakiem godnym kary i grzesznikiem godnym pobłażania. Warszawa dotąd nie zasłużyła na wymówki, ani pod jednym ani pod drugim względem, a nawet pochopnością do małżeńskich związków, jakim codziennie nowych śle ochotników zasługuje na uznanie, a nawet pochlebne w pismach wzmiankę.

W końcu zeszłego roku, poruszono kwestję stręczenia małżeństw przez kantor, mający się w tym celu głównie założyć. Myśl tę przyjęto z oburzeniem a nawet w kurjerach podniesiono wymowny głos z ubolewaniem, nad zepsuciem społecznéj moralności. Pięknie to bardzo przemawia za naszą uczuciową stroną, dowodzi jéj potęgi nie wszystko mierzącéj brzęczącym kruszcem mamony, ściśléj się jednak zastanowiwszy swatanie małżeństw w innéj tylko formie już od wieków w ludzkości ma miejsce. Aby módz się ożenić lub wyjść za mąż trzeba koniecznie pewnych warunków, których tylko większe pożycie w świecie między ludźmi dostarczyć potrafi. Znam mężczyzn zakłopotanych pracą od rana do nocy, dla których co tylko jéj nie dotyczy jest obcem najzupełniéj, znanem zaledwie z nazwiska. Znam panienki rosnące niby piękne lilije w pośród puszczy leśnéj. Pierwsi zwykle pochylają się, dziwaczeją i w obec kobiet rumienią się jak żaki na figlu schwytani: drugie więdną z wielkim żalem bliżéj je otaczających.

Otóż zbliżenia do siebie podobnie rozdzielonych jednostek, ułatwienia, im wzajemnego poznania ośmielenia do obudzenia w sobie żywszych uczuć i wreszcie zawartego małżeńskiego związku, dopełniają dotąd wszędzie kuzynowie i bliżsi znajomi, bardzo często z obopólnem obu stron zadowoleniem. Wprawdzie swatów z własnego popędu serca nic nie zastąpi, cóż jednak zrobić z mężczyzną, nie mającym ani czasu dla szukania sobie wzajemnego serca, ani odwagi zakołatania do niego szeptem słów miłosnego wzruszenia?

Taki zginie jak Szwed w kampinowskiéj puszczy i swatanie staje się dla niego jedynym ratunkiem, którego się zwykle chwyta z wielką czasem zapalczywością. Na téj to zapewne zasadzie opierając się, powstał wyrób nowożytny kantoru stręczeń małżeństw, ale co innego jest działanie bezinteresowne z serdecznéj życzliwości, a co innego z zimnego płynące rachunku. W pierwszym razie pragnienie gorące uszczęśliwienia swatanych omylić się może w wyborze osób tylko mimowolnie: w drugim z wyrachowania a często z zupełną świadomością. Nieoględność ludzka jest wielka, a handlarstwo i chciwość zarobku nie mają granic i potrafią wyzyskać wszystko co im tylko w łapy wpadnie. Niechże więc wstrętna myśl kantoru małżeństw, przepadnie na wiek wieków i nie zaraża społeczności naszéj swoją potulną minką, szukająca rubla w frymarce świętego związku. Pomimo jednak oburzenia prasy perjodycznéj, kto wie co się stanie jeżeli nie dziś to jutro. Zależyć to będzie od usposobienia społecznego i wyrobu jego pojęć, potrzeb i przekonań. Prasa może wrzeszczyć przez wszystkie tuby, trąby i kotły kolumn swoich szpalt i czcionek, a spekulacja zrobić to co czuje że się przyjmie i spodoba.

Pomimo że utrzymanie życia coraz trudniejsze a chleb coraz droższy, w Krakowie z końcem roku zeszłego przestał wychodzić Przewodnik ekonomiczny, pismo bardzo pożyteczne, gdyż przez pierwsze kilka miesięcy swego bytu nie miał w miejscu wychodzenia ani jednego prenumeratora, a w ciągu dwóch lat zaledwie doszedł w całéj Galicji do dwóchset osób pragnących z niego korzystać. Prasa perjodyczna obojętność tę łajała, wyszydzała nic to jednak nie pomogło i pismo upadło.

Chleb i prasa perjodyczna dwa to wielkie czynniki rozwoju społecznego. Chleb obfity przysparza prasie czytelników, prasa pośredniczy a raczéj służy za bodźca do jego wytwarzania. Na nieszczęście chleba nie mamy do zbytku, a biorąc wyraz ten w ścisłem znaczeniu, Warszawa ma chleb tak nędznie wypiekany, że zawstydza ją każde najmniejsze miasteczko prowincjonalne. Powodu tego trudno odgadnąć, zdaje się spoczywać w zbyt ścieśnionych przepisach co do jego wagi, kto wie czyby zwolnienie od wszelkich nadzorów, nie wyprowadziło chleb warszawski z klajstro-

w atéj roli w jakiéj ciągle w postaci bułek i bochenków przedstawia się w handlu piekarskim. Niedawno pisma publiczne doniosły o nowym sposobie wypieku chleba pomysłu francuzkiego chemika Sensille, ze zboża niemielonego, na co dostał patent we Francji i Anglji. Sensille odłącza tylko na tarkach zewnętrzną plewkę zbożową, resztę zaś całą ziarna poddaje odpowiedniemu fermentowi, nie działającemu zbytecznie na krochmal w niem znajdujący się, skutkiem czego otrzymuje chleb bielszy, pożywniejszy i w większéj ilości niż zwykle. Ze stu bowiem funtów zboża dostarcza nie tak jak dotąd 112 funtów chleba ale 140 do 145 czyli przeszło 25 procentów więcéj. Jest to zysk ogromny, a jeżeli zważymy koszta mielenia tu usunięte zupełnie, i pozbycie się strat w mące zawsze przez zagrzewanie kamieni ponoszonych, to łatwo osądzimy, że chleb taki obok innych przymiotów musi być tańszym niż otrzymywany zwykłym sposobem. Zaprowadzenie téj nowości u nas byłoby bardzo pożądanem.

Z prasą perjodyczną lepiéj jednak u nas idzie jak z chlebem, bo nietylko że nie straciliśmy żadnego organu ale nawet cztery nowe przybyły, zyskawszy od razu sporą liczbę prenumeratorów. Powodzenie to było przewidziane, przewodniczyła im myśl pożyteczna, dania krajowi tego czego mu brakowało, a myśli podobnéj ogół nasz nigdy nie odpycha. *Niwa* w głosie swoim do czytelników rzuciła zapytanie z pewnym rodzajem trwogi, kto czytać będzie takie pismo jak Niwa, kto je poprzeć zechce? Ma to znaczyć, jak się domyślać należy, że ogół kraju za nadto nisko stoi pod względem wykształcenia umysłowego, aby mógł i chciał korzystać z pracy kilku czy kilkunastu członków redakcji, którzy go nauką o wiele przewyższają. Obawa to przedwczesna, niech pismo tylko rzeczywiście starannie będzie redagowane a czytelnicy się znajdą. choćby Niwa jak najpoważniejsze prace w kolumnach swych mieściła. Bibljoteka Warszawska w stokroć gorszych powstawała warunkach, gazet wówczas niewiele kto czytał a o nauce mało nawet myślano, jednak nie trwożąc się i o czytelników i o poparcie, wystąpiła śmiało z pierwszą tego rodzaju publikacją i odrazu uzyskała sporą liczbę prenumeratorów. Zapowiedź krytyki przez Niwę bardzo nas ucieszyła, daj tylko Boże aby była bezstronną a nienapastniczą, rozumującą a nieszyderczą. Pióra do tego trzeba bardzo wytrawnego, wykształcenia niepospolitego i znajomości literatury niepowierzchownéj, o co mamy nadzieję, że w składzie Redakcji Niwy nie będzie trudno.

Przyroda i Przemysł rownie jak Niwa pożądane, w pierwszych numerach dotąd wyszłych, zaleca się jasnością wykładu tak niezbędną w podobnego rodzaju pubilkacjach. To samo możemy powiedzieć i o Gazecie rzemieślniczo przemysłowéj, redagowanéj przez pana Makowieckiego. Wieniec od innych dwóch illustracji różni się chyba tylko tem, że mniéj poświęca miejsca powieści i daje ją tylko jedną.

Bibljoteka Warszawska w numerze styczniowym swego pisma ogłosiła konkurs, przeznaczając z daru p. A. T. złotych tysiąc jako nagrodę za najlepszą książkę napisaną dla dzieci w języku polskim. Termin przesyłania rękopismów ostatecznie oznaczony został na dzień 1 Lutego 1873 r. Bliższe określenie osnowy konkursowego dziełka jest następujące.

Wyjaśnienie programatu dzieła konkursowego dla dzieci.

Warunki, jakich żądamy od dzieła dla dzieci przeznaczonego, winny w zupełności odpowiadać tym przymiotom umysłu i serca, jakie w młodzieńcu i człowieku dojrzałym widzieć pragniemy. Książka jaka ma być środkiem pomocniczym w wychowaniu domowem, ma rozwijać umysł dziecięcia, wzbogacać jego wiedzę, kształcić serce, winna zrodzić w dziecku poczucie obowiązku i wolę zaprawić do chętnego jego wykonywania. Jak poznanie Boga jest pierwszą powinnością człowieka, tak też i w całem dziele główna uwaga na to zwrócona być winna. Obznajmienie dziecka z tworami natury, z cudną harmonią świata wśród całéj jego rozmaitości, z ukształtowaniem się kuli ziemskiéj, z niewysłowienie mądrą budową ciała ludzkiego, da mu poznać mądrość i wszechmocność Stwórcy, który do wyprowadzenia tego wszystkiego z niczego, nie potrzebował ani pomocnika, ani narzędzi, ani namysłu. Dając wszakże dziecku poznać świat zewnętrzny, autor nie powinien sądzić, że się tu ma na celu wykład systematyczny jakiéjkolwiek nauki, bynajmniéj, podać on tylko winien w wykładzie przystępnym i zajmującym wyniki badań naukowych. Opowiadając życie jestestw organicznych, formacyę nieorganicznych, niech się autor strzeże klaść czynności zwierząt, ptaków, owadów na karb jakichś ich zasług, tylko co nie cnót; gdzie nie masz wolnéj woli, tam i zasługi być nie może. Niech pokaże tylko na przykładach mądrość Stwórcy, który wlał we wszystkie twory organiczne odrębną naturę, dał jednemu zwierzęciu charakter łagodny, cierpliwy, poddający się woli człowieka, innemu dziki, nieugięty, drapieżny, krwi chciwy. Oswojenie zwierząt, wyuczenie ich różnych sztuk autor objaśni ich zmyślnością, a jeszcze bardziéj dowodem, czego wytrwała praca ludzka dokazać potrafi. Zaraz jednak doda, że te zwierzęta uczone nie mają świadomości swych czynów i dzieci swoich nie wyuczą obrotów, do jakich je włożono. Szczenię nie nauczy się od matki ani warować, ani podawać, ani na łapkach służyć; kocię, zrodzone w lesie, choćby od najpieszczotliwszéj matki, pozostanie dzikiem, jakim był pierwszy jego prarodzic; możność moralnego doskonalenia się i przekazywania idei potomkom, daną została tylko człowiekowi, i oną to główną, odróżniającą go od zwierząt cechę jego stanowi. Niech autor w opowiadaniach o wspaniałomyślności, wdzięczności i innych przymiotach zwierząt, nie upatruje w tych ostatnich podniesienia ich do cech znamionujących istotę duszą obdarzoną; wywyższanie bowiem zwierząt jestto samo, co poniżanie człowieka. Mówiąc o pracowitości mrówki, o skrzętności pszczółki, wierności psa, niech się strzeże wystawiać te stworzenia człowiekowi, jako wzór do naśladowania; nie potrzebujemy uczyć się cnót od nierozumnych zwierząt lub owadów: mamy czystsze źródło moralności, mamy do naśladowania wzory szczytniejsze, bo święte i boskie.

Nie idzie wszakże zatem, aby w opowiadaniu o zwierzętach nie było mowy o ich zwyczajach i obyczajach; owszem przedstawienie ich będzie bardzo właściwe. Wykaże bowiem naturę zwierząt, poznanie któréj dla człowieka jest konieczne, tak dla obrócenia ich na swój pożytek, jak i dla uchronienia siebie, dobytku i plonów od ich szkodliwych działań. Tak samo autor postąpi i ze światem roślinnym, wskazując dziecku na rośliny użyteczne, szkodliwe i na odznaczające się pięknością barwy lub przyjemnością woni. Z królestwa kopalnego dotknie najużyteczniejszych kruszców i minerałów; od znajomości bowiem obchodzenia się z niemi przemysł kraju a zatem jego dobrobyt zależy.

O wyczerpaniu tych kategoryj mowy nawet być nie może, tak samo jak nie będzie miał autor na względzie systematycznego wykładu jeografii fizycznéj lub matematycznéj, choć opowie dzieciom o wulkanach, trzęsieniach ziemi, stosunku kuli ziemskiéj do innych planet, o zjawiskach natury i innych tym podobnych przedmiotach.

Od poznania świata fizycznego autor przejdzie do obeznania dziecka ze światem wewnętrznym czyli ducha naszego. Tu dwa cele autor założyć sobie powinien: pierwszym, ma być wzbogacenie tejże wiedzy drugim, kształcenie serca dziecięcia. Skutkiem pierwszego, ma być wykształcenie dziecka na pożytecznego członka społeczeństwa, drugiego, wyrobienie w nim charakteru poczciwego, obudzenie zamiłowania cnoty, czyli, co jedno znaczy, gorącéj miłości Boga i bliźniego. Do pierwszego doprowadzą powiastki z życia narodów, opowiadania o najważniejszych odkryciach i wynalazkach: do drugiego, przykłady cnót, poświęcenia się dla bliźnich z życia ludzi pojedynczych, dobroczyńców ludzkości. Wystawiając wszakże potęgę rozumu ludzkiego, autor strzedz będzie dziecko od pychy, od zbytecznego zaufania w moc rozumu i wskaże na łaskę Bożą, jako na najwyższe źródło wielkich czynów, któremi Bóg natchnął, wybrane przez się narzędzia dla okazania swéj miłości ku ludziom, dla ich dobra i szczęścia.

O złych namiętnościach ludzkich, o czynach niecnych, poniżających godność człowieka, autor winien zamilczeć; samo zamiłowanie cnoty zrodzi już wstręt do występku. Miłość najczystsza, bezinteresowna, prawdziwie chrześcjańska, nich przenika każde opowiadanie historyczne; niech autor wyraźnie nawet wskaże dziecku, że wielkim człowiekiem jest nie ten, co łzy ludziom wyciskał, choćby najgenialniejszemi pomysłami gwałtu i zniszczenia, ale ten, co je ocierał co w serca zbolałe wlewał pociechę i nadzieję, a upadłych moralnie lub upośledzonych fizycznie uzacniał i podnosił.

Mówiąc o społeczeństwie ludzkiem, autor przeprowadzi myśl, że podstawą jego jest rodzina; gdzie więc życia rodzinnego nie ma, gdzie węzły wiążące członków rodziny w jedną całość są potargane lub nie uszanowane, tam społeczeństwo długo ostać się nie może, i przy pierwszem zetknięciu się z żywiołami przeciwnemi, runąć musi koniecznie, tak jak runie od pierwszego gwałtownego wichru, budowa nie mająca silnéj podwaliny.

Forma jaką autor ma nadać swoim opowiadaniom pozostawia się jemu samemu; najwłaściwszem więc tytułem byłoby: „Podróż z dziećmi po świecie przyrody i ducha." Język ma być czysty, styl łatwy i ujmujący bez spotykanych tak często a ckliwych zwrotów: „kochane dziatki, kochani przyjaciele!" Dzieci wiedzieć nawet nie powinny, że autor miał na względzie cel pedagogiczny, niech tylko dzieło będzie zajmującem i w treść bogatem, niech je potem dzieci rozsądnie czytają, a błogie skutki same przez się nastąpią, co jest właśnie zadaniem konkursu.

Redakcja Biblioteki Warszawskiéj.

KORESPONDENCJA.

Pani Ka: i Pani Wań: Ręczna maszyna do szycia „Wanzera" kosztuje bez opakowania i opłaty pocztowéj rs. 35.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami ze wzorami ubiorów i robót kobiecych.

Druk K. Kowalewskiego (ul. Królewska N. 1066 *k*) Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 3. r. 1872.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Zamyślił się, zakrył dłonią twarz — oczy miał łez pełne.

— Wierzę panu i uszanuję jego milczenie... zakończyła Elwira.

— Pani jesteś aniołem! zawołał Pilawski w uniesieniu — lecz my żyjemy na świecie nie w sferach róży mistycznéj Raju — w tym świecie imię, nazwisko, stan, zajęcie, przeszłość stanowią o losach człowieka. Podnoszą go, przybijają, dają mu lub odbierają stanowisko, prawo do bytu w pewnem towarzystwie, słowem są to suknie, bez których na królewskie pokoje wnijść nie można. Nie powiem więcéj...

— Nie! nie chcę! powtórzyła Elwira, tylko powtórz mi pan, że sobie nic nie masz do wyrzucenia i że nikt panu zarzutu, uczynić nie ma prawa.

— Żadnego, który by mnie w oczach ludzi zacnych i rozsądnych mógł potępić — rzekł Gabriel. Co się tyczy śmiesznéj plotki o mojem szulerstwie, tą mogę wzgardzić, bo jest najniedorzeczniejszym wymysłem. Ale pozwól pani spytać — czy matka pani słyszała to?

— Tak jest, wie o tem.

— A pani litościwie raczyłaś mnie bronić?

— Broniłam, alem nie obroniła — rzekła Elwira, sercu matki dosyć podejrzenia.. Teraz stanę odważniéj w waszéj obronie.

Mała Jaworkowska, uwolniwszy się od wolanta, biegła zająć stanowisko dorosłéj panny, Gabriel ledwie miał czas odezwać się pospiesznie...

— Ufaj mi pani, proszę — błagam..

— Bądź pan spokojny.

Podali sobie ręce. Pilawski odszedł kilka kroków i padł na ławkę. Siedział na niéj zadumany od kilku minut, gdy go przywitanie zbudziło.

— Dobry wieczór panu dobrodziejowi.. szanując incognito tytułu nie daję! cha! cha! Był to Surwiński, który się natychmiast przysiadł. Miałem przyjemność tylko co zabrać znajomość z oficjalistą szanownego pana, który tu przybył znać z raportem.

Pilawski porwał się z twarzą zmienioną. Z moim oficjalistą? i ten... zapewne?

— Nie, nie, niezdradził incognito — daję słowo — szepnął Surwiński, ten filut Greifert, nie lubię tego malimończyka, pfe! — to istny kugiel żydowski chciał koniecznie coś z niego wyciągnąć — a co mu się nie udało.

Gabriel słuchał. A do czegoż się to zdało panu Greiferowi? zapytał.

— Pan nie wiesz — nie daję mu tytułu — rzekł znowu Surwiński szanując incognito.

— Ja nie mam żadnego.

— No, to dobrze, to dobrze.. ale — pan nie wiesz, iż masz we mnie przyjaciela, więc z tego tytułu mogę być szczerym i będę. Jakże pan dobrodziéj niechcesz tego widzieć, iż takim właśnie ludziom jak Greifer, stoisz na ich drodze i chleb im odbierasz. Młody, przystojny, bogaty, (hm, może i coś więcéj!) przyjeżdżasz, zawracasz głowy, odsadzasz Greifera od hrabiny, zajmujesz mu miejsce przy Domskiéj, zaćmiewasz go swym blaskiem, naturalna rzecz, że sobie w nim czynisz nieprzyjaciela.

— Jakto przy Domskiéj, przerwał Pilawski, którego to uderzyło — a cóż Greifer ma tam za stosunki?

— Ma, ma, zawiązał je przez panią Jaworkowską, która go proteguje dla tego, że on jéj fluksję okłada kataplazmami pochlebstw i kondolencji. Wkręcił się do tego domu i radby się ztamtąd pana pozbył. To jeszcze dodam, że jeśli zajdzie jaka plotka, przeszkoda, coś niepomyślnego z téj strony, ręczę, że ją ten gagatek stworzy...

Pilawski wstał z ławki i uderzył w dłonie.

— Jestem w domu?

— Co takiego? przerwał zdumiony Surwiński, czy już co spłatano?

— Tak jest — rzekł Pilawski — a mnie idzie o to, ażebym odkrył sprawcę i pomścił krzywdę.

Surwiński wielki amator mszczenia krzywd zatarł ręce. Pomścimy ją, jak Bóg Bogiem.

— Trzeba dowodu na sprawcę..

— Znajdziemy go zawołał Surwiński, a jak tylko będzie szło — o pif, paf — szach, mach, ja panu dobrodziejowi dam na sekundanta Hotkiewicza i poprowadzimy interes...

— Dowodu! dowodu! zawołał Pilawski, dowodu, że on splótł potwarz na mnie.

— Cicho, powoli — a i ten się znajdzie.. czekaj pan, ja w tem..

Z rozognioną twarzą Gabriel ścisnął dłoń Surwińskiego, który go w ramię pocałował i z rozrzewnienia więcéj powiedzieć nie mógł nad wyrazy przerywane łkaniem. Mój mości dobrodzieju, mój panie.

Ochłonąwszy jednak nieco przysiedli oba.

— Jakkolwiek przekonanie moralne może do tego prowadzić, że kalumnię rzucił Greifer — zamało tego, potrzeba dowodu.

— Gdybym tylko moralną miał pewność — szepnął Pilawski — powód do dania mu nauki znajdę.

— Ale beze mnie proszę nie czynić nic — zawołał Surwiński, beze mnie nic — ja tę rzecz poprowadzę... trzeba ostrożności i taktu... taktu.........

Domawiał tych słów, gdy hrabina w towarzystwie Sir Williama, który jéj rękę podawał, hr. Zelazowskiego i kilku osób ukazała się na ścieżce.. Surwiński ścisnął rękę Gabriela, szepnął raz jeszcze:

— Beze mnie nic, i ścieżyną w dół zbiegł szybko jakby miał lat dwadzieścia kilka.

Nasz nieznajomy był jednym z tych ludzi, którzy choć nawykli są i zmuszeni wiele w sobie ukrywać, nic całkowicie zataić nie umieją. W tych poczciwych naturach wzdrygających się na komedję życia, przez innych odgrywaną z taką krwią zimną i obłudą mistrzowską, odbija się wszystko na powierzchni, co w głębinę padnie. Na Pilawskim poznać było można rozmowę z Elwirą i spotkanie z Surwińskim, i niepokój o owego eleganta, niepotrzebnie przybyłego do Krynicy i po ścieżkach wszystkich popisującego się z zielonemi rękawiczkami. Hrabina przez przyjazne usposobienie, które w niéj pozostało, choć miejsce w sercu zajął teraz William, poznała, domyśliła się zaraz, iż Pilawskiemu coś się trafiło. Napróżno wysilił się na uśmiech przy powitaniu... rzuciła na chwilę Anglika i bardzo zręcznie podstąpiła ku niemu. Pan jesteś zmięszany, co panu?

— Nic, pani.

— Pan mnie nie zwiedzisz, bo mu dobrze życzę, co to jest? przysięgnę, że plotka..

Gabriel zmilczał. Źle pan zrobisz, że nie jesteś szczerym ze mną. Miałbyś prawo taić się, gdybyś się we mnie zakochał, ale będąc tylko dobrym przyjacielem, powinieneś mi mówić wszystko.

— Nie ma nic tak ważnego, jam czasem dziecinnie drażliwy, odezwał się, zmuszając do uśmiechu znowu Pilawski, a są doprawdy rzeczy, które uszu pani dotykać nie powinny.

— Myśmy się teraz i uszy nasze wyemancypowały, rozśmiała się hrabina, ruszając ramionami — możemy już słuchać wszystkiego, kiedy niektóre z nas słuchają medycyny. Kobiety anioła, wychowywanéj jak pieszczony kwiatek, aby w kielich jego kropla rosy nie padła, aby pył nie siadł na jéj listkach, aby rosła poezją, pieśnią, obłoczkiem złocistym, niewinnym barankiem, téj kobiety, nie ma już na świecie. Na miejscu jéj macie siostrę w pracy, nauce, w męztwie. Czy przy siostrze nie zatęsknicie za aniołami, ja nie wiem — ale anioły poleciały, zkąd przyszły. Z nami więc nie ma co robić ceremonji, mów pan.

— Doprawdy nie mam co powiedzieć! wybuchnął Pilawski, jestem zły, ktoś tu na mnie poplótł rzeczy niestworzone, kipię, szukam i chciałbym się pomścić.

— Czekaj pan, zawołała hrabina — a strzelasz dobrze?

— Nie mogę się chwalić — rzekł Pilawski — lecz wątpię doprawdy, bym mógł chybić.

— Kulą, z pistoletu..

— Czemkolwiek bądź i do czegokolwiek bądź.

— Nie zdaje mi się, żebyś mógł fanfaronować — zapytała hrabina. Odwróciła się do Williama.

— Masz pan pistolety podróżne? zapytała.

— Mam i wyborne — odparł Anglik.

— Możebyśmy sobie zrobili zabawkę i poszli strzelać do celu.

— Wybornie! rzekł William, i ruszył nie oglądając się, po broń i kule. Hrabina tymczasem, nie mówiąc już nic z Pilawskim, spiesznym krokiem poprowadziła całe towarzystwo na łączkę za łazienkami, za którą był las, a położenie jéj wzgórzyste, zabezpieczało by zbłąkane kule nie dostały się przechodniom. Anglik w bardzo prędkim czasie zdobył deskę, pochwycił pudełko i nadbiegł zdyszany..... aby swą panią zabawić..... co prędzéj spełniając jéj rozkazy.

Hrabina mocno zdawało się sama przygotowaniem zajmować. Gabriel stał z boku. Ustawiono cel, nabito broń, całe towarzystwo zajęło półkolem miejsce widzów, wyczekano jeszcze, chwilę wysławszy ludzi, aby się upewnić, że lasek i okolica jest pusta, wreście anglik pierwszy stanął o kroków trzydzieści, strzelił razy cztery i niechybił ani razu. Pani Emilja biła brawo z całych sił.

— No, a pan? odwróciła się do Gabriela.

— Ten strzela lepiéj ode mnie — odezwał się William, probowaliśmy się w Tatrach — ja mogę powiedzieć, że mam wzrok i rękę celną, ale ten — djabelską.

Pilawski się zarumienił. Dla niego tylko można wbić parę ćwieków w deskę dodał anglik, ręczę, że kule będzie na nie sadził jak paciorki na nitkę.

— To przesada — ozwała się hrabina.

— Sprobujemy, rozśmiał się William. Pobiegli

do deski.. Był to kawałek tarcicy oderwany od czegoś z tkwiącym właśnie gwoździem u brzegu, który kamykiem wyprostowano. Gabriel wzbraniał się strzelać, ale hrabina prosiła, zachęcała, domagała się, wszyscy stali w oczekiwaniu. Wyszedł milczący z dwoma pistoletami na raz, widać było w twarzy wytężenie wielkie wszystkich sił i zmysłów, padł strzał jeden i natychmiast drugi. Jeszcze obłoczek dymu wzlatywał nad trawą, gdy wszyscy się rzucili do deski, na gwozdziu tkwiły dwie kule jedna na drugiéj, dolna tylko była spłaszczona i w deskę zaryta.

P. Palczewska obróciła się do Gabriela — Powinszować panu! rzekła, to coś cudownego! ale z pana nieprzyjaciel straszliwy..

— Gdyby do człowieka tak mierzyć można, jak do deski — odparł skromnie Pilawski.

Biedna jaskółka padła jeszcze ofiarą tych popisów zręczności. Hrabia Żelazowski posępnie patrzał na nie. — Niech że go licho porwie — powiedział sobie w duchu, piękna rzecz z nim mieć do czynienia.

Anglik poszedł swą drogocenną broń odnieść sam do hotelu, a pani Palczewska parę kroków odeszła z Pilawskim pod pozorem przypatrzenia się celowi jeszcze.

— Daj mi pan słowo, że ani zabijesz, ani skaleczysz ciężko i tylko maleńką sprawisz nauczkę, szepnęła a dostaniesz wskazówkę o plotkarzu....

— Dowód, dowód!

— Niestety, nie mam go!

— A ja wskazówkę już mam — rzekł Pilawski.

Spojrzeli na siebie...

— Cóż myslisz? — Nie wiem, zobaczymy.

Hrabina poprowadziła cały swój dwór na daleką przechadzkę..

Tegoż wieczora ludzie, którzy woleli wista, niż towarzystwo hrabiny i dowcipną jéj rozmowę, siedzieli zawcześnie przy stolikach, ale nie grali. Oprócz gospodarza, D. Wertera, Porfirego był hr. Żelazowski, Hotkiewicz i Hammermann..

— Ale bo doprawdy, prawisz nam z tysiąca nocy, kochany hrabio, jakże to było, jak? rzekł Aksakowicz.

— Sam byłem przytomny, począł Żelazowski zapalając cygaro w chwili gdy właśnie Greifer nadchodził, i nieprzerywając opowiadania, kapelusz składał na stoliku. — Hrabina nasza ma fantazje popsutego dziecka, aby się tylko zabawić. Chciała się widać popisać z anglikiem, zażądała deski, celu i strzelania z pistoletów o kroków trzydzieści kulą. Anglik poszedł po broń. Odmierzono dystans. Nakreślił cel, strzelał i do celu, do samego, powiadam państwu, trafiał. Widziałem strzały, celne były, ale przecież nie kula na kulę. Hrabina obraca się do tego Pilawskiego i zaprasza go, ten udaje niewiniątko... A cóż, anglik idzie i dobywa z deski zakrzywiony gwóźdź, wyprostowali go.. Pilawski stanął na kroków trzydzieści z dwoma pistoletami, wypalił i obie kule na gwoź — dziu o — sa — dził. Hę! Jak Boga kocham! Słowo daję.. Ot jak strzela!

— Kto? zapytał Greifer, kto?

— Nie słyszysz? Pilawski — zawołał Aksakowicz..

— Nie mówiono ci o tem? Toć się działo przed kilku godzinami, dziś wieczorem... począł Żelazowski. Sam oczyma memi na to patrzałem..

— Jakto? jakto? wsadził — przerwał Greifer — kule na gwóźdź?

— Dwie, jedna po drugiéj!

— A! niechże go wszyscy djabli wezmą! krzyknął gospodarz — lecz — panowie.. Czas ucieka! Do roboty!

— Przypadek! przypadek! cicho bąknął przybyły Greifer, poprawiając kamizelki i odchrząkując jakoś dziwnie, jakby mu w gardle zaschło.

— Dwie kule jedna po drugiéj, ofuknął Żelazowski — a, jeśli to przypadek...

— *Sicuro!* zawołał Baron Hotkiewicz, to nie jest żaden wypadek lecz *ars magna*, kunszt, sztuka, wprawa; ja raz w życiu spotkałem takiego gracza, *c'etait un Espagnol, ma foi*, który strzelał o zakłady stu dukatowe do *szwalbek*... i *hat niemals verloren. Evero, jéj bohu*, jak panów szanuję.

Greifer wciąż poprawiając kamizelki, stał nad grającemi nadrabiając fantazją, ale znać było w całéj postaci i twarzy zmięszanie, którego szczęściem nikt nie dostrzegł.

— Już to trzeba przyznać — mruknął Żelazowski, że kto on tam jest, to jest ten Pilawski, choć może nie tak wielka figura, jak się Surwińskiemu śni, nie mniéj wychowanie odebrał pańskie.. Języki, muzykę, rysunek, no i to djabelskie strzelanie w takim stopniu nie każdy posiadać może.

Greifer ramionami ruszał ciągle.

— Surwiński po prostu monoman.. rzekł — ja powiem tylko jedno, że kto się nie ma z czem taić, ten się nie tai..

— Daj no ty pokój — przerwał Żelazowski, i nie paplaj, bo z nim gra krótka, nie zdrowa, może ci w pakować kawał ołowiu pod żebro jak nic.

— Jać go nie zaczepiam.. odparł Greifer — ale co prawda, to prawda.

Wszyscy zamilkli. Ot, gralibyście, dodał gospodarz, i zapić tę sprawę. Strzela — niech sobie się zdrów popisuje — nikt mu nie broni.

Chwilę panowało milczenie.. Greifer chodził zadumany, ale mu język świerzbiał.

— Czy kto z panów nie spotkał kawalera w zielonych rękawiczkach? zapytał nowo przybyłego do Krynickich zdrojów. A! pocieszny pajac, a zabawna figura! Jeśli przysłowie prawdziwe, jaki pan taki kram.. i wart pac pałaca.. z tego szczygiełka możemy wnosić o arystokratycznem pochodzeniu jego pryncypała. Jestto oficjalista pana Pilawskiego.

Pan Porfiry, który miał zadawać, podniósł głowę!

— A ja go proszę pana widziałem.. Lakierki wyszywane i medaljon u zegarka.. bardzo wielki elegant..

Greifer się śmiał. — Nieoszacowana karykatura!

— Truduo oficjalistów ubierać w liberję — dorzucił Żelazowski.. Ale, przecie z tego jegomości łatwo by Surwiński dobył tajemnicy tego pana?

— I musiał tego dokazać, bo polował na niego — rzekł Greifer z uśmiechem, nic nie mówiąc o sobie. To pewna, że się nie przyzna do odkrycia! Ruszył ramionami.

— Ty bo kochanie masz ząb do niego! szepnął hrabia Żelazowski. Zwyczajnie do rywala.

— Jakiego rywala? Nasze drogi pewno się w życiu nie spotkają..

Wist zajął wszystkich i więcéj już mowy o tem nie było, lecz w Krynicy o cudownych strzałach rozeszły się osobliwsze wieści. Oficialista w zielonych rękawiczkach nazajutrz na wózku góralskim wyjechał raniuteńko do Żegestowa.

Pan Porfiry po ostatniéj rozmowie z ciocią, zdając sobie sprawę z jéj rezultatu, wywnioskował, że ciocia prezesowa, chociaż nie pochwalała w zupełności jego zakochania w pannie Elwirze, nie zabroniła mu wszakże oddawać się temu słodkiemu uczuciu. Mówił sobie nawet, że nie byłaby temu przeciwną, gdyby rzeczy daléj posunięte zostały. Ale jak tu je było posunąć daléj, przy takim braku rutyny i doświadczenia. Nieszczęśliwy młodzieniec mógł się tylko pokierować wrodzonym instynktem i przykładem drugich. Jakkolwiek umysł to był śpiący jeszcze w pieluchach, z których trudno mu się było rozwinąć, bacznie jednak postrzegał jakiemi drogami inni chodzili. I śledząc a rozmyślając, doszedł do tego pewnika, iż szczęśliwszy daleko od niego Greifer wsunął się do tego domu przez panią Jaworkowską. Nie mógł już daléj zajść we wnioskach swych nad to, że i jemu wypadało starać się o jéj łaski i wyrobić sobie wnijście do przybytku za protekcją fluksji i dzieci. Miał on szczęście już dawniéj być prezentowanym téj damie, która znała jego rodziców. Włożywszy więc wiedeński tużurek poszedł z wizytą, i — oddał się na posługi dzieciom. Najłatwiéj w ten sposób matkę za serce pochwycić. Trzeciego czy czwartego dnia, był jakby domowym. Młoda panna Jaworkowska wyobrażała sobie, że ten słuszny kawaler w niéj się zakochał miała już bowiem pierwsze wiadomości o tem uczuciu, z ust usłużnéj garderobianéj. Dwa razy chodził do apteki po laudanum i krople laurowe dla saméj pani.. Stosunki te tak go wreście ośmieliły, iż z pieca na łeb jednego poranku przyznał się na pół żartem pół doprawdy p. Jaworkowskiéj, iż się w Elwirze zakochał. Zaczęła się z niego śmiać, poprosił ją, aby go tam zaprezentowała. Ruszyła ramionami, oświadczając, że chętnie to uczyni.

— Ale mój, panie Porfiry — dodała — po co tobie głowę nabijać takiemi rzeczami, które nie są dla ciebie. Tam już sto razy zręczniejszy Greifer tańcował napróżno i podobno tego Pilawskiego szulera nie wysadził.

— Jakto? to to jest szuler? spytał przerażony Porfiry, — Szuler — a ja myślałem, że to porządny człowiek i magnat.

— Szuler z profesji. Greifer się o tem dowiedział z Warszawy, poczęła zapomniawszy się pani Jaworkowska. — Tylko ty o tym milcz, proszę... Greifer pierwszy się tego dowąchał. Szulery zazwyczaj grają takie role, żeby zwabić młodzież niedoświadczoną, to ma być awanturnik. Porfiry zmilkł przestraszony.

Nazajutrz przez kwandrans miał szczęście siedzieć na krzesełku naprzeciw fotelu pani Domskiéj, oczyma bombardował pannę i wyniósł się rozmiłowany do szaleństwa. Utkwiło mu to w głowie, jak można, żeby w uczciwem towarzystwie cierpiano szulera, chodził nękany tą myślą długo, a za pierwszem spotkaniem, wielką ową wątpliwość poddał pod rozstrzygnięcie cioci prezesowéj, która dowiedziała się najdokładniéj, iż mu téj wiadomości udzieliła p. Jaworkowska, a ona ją miała od Grejfera. Zbywszy siostrzeńca nauką moralną, ciocia prezesowa nie mogła z takiemi dokumentami zachować milczenia. Poszła znowu do Ormowskiéj, gdzie zastała hrabinę. Wejście jéj przerwało rozmowę jakąś, któréj treści domyśleć się nie mogła.

— Ja, przyszłam podobno baronowę pożegnać — odezwała się — chociaż wód wedle przepisu Dietla nie skończyłam, ale już chyba wyjadę..

— A to dla czego? spytała baronowa.

— Tak... bo tego roku towarzystwo takie.. że tu wyżyć nie można..

— Dziękuję prezesowéj! rozśmiała się hrabina.

— A! to się do kobiet nie stosuje, a przynajmniéj nie do wszystkich, kończyła ciocia prezesowa... ale mężczyźni...

— Którzy? zapytała pani Palczewska.

— A chociażby ten awanturnik Pilawski — rzekła pobożna kobieta. Ja tu mam siostrzeńca z sobą, boję się dla niego takiego towarzystwa, samego ocierania się o szulerów i oszustów.

— Na miłość Boga, co mówisz? przerwała gwałtownie hrabina, ten człowiek bywał i bywa w moim domu!

— Boś waćpani zbyt dobra!

— Któż mógł rzucić tę potwarz na niego?

— Nie ma w tem sekretu. P. Jaworkowska powiada wszystkim, iż ma to od p. Stanisława Greifera, któremu czarno na białem pisano o tem z Warszawy. To wszyscy wiedzą. Przecież by Porfiry nie kłamał, bo on ma wstręt do wszelkiego fałszu.

— Pani mi to pozwala powtórzyć komu należy? zapytała zarumieniona hrabina.

— Przynajmniéj nie bronię — nie bronię, rzekła pobożna pani.

Rozmowa się zwróciła, hrabina zamilkła, a wkrótce potem wyszła. Szybkim krokiem, gniewna dążyła do domu, który zajmowała, gdy na drożynie pozdrowił ją — Greifer.

Spojrzała nań z surowością sędziego. —Bardzo dobrze iż się spotykamy, ozwała się sucho — idę w téj chwili od Ormowskiéj. Przyszła tam prezesowa Hercegowińska i publicznie oświadczyła, jako jéj siostrzeniec słyszał z ust pani Jaworkowskiéj, że pan opowiadałeś o liście otrzymanym z Warszawy, wystawiającym pana Pilawskiego, jako awanturnika i szulera. Pilawski w domu moim bywał i bywa, niemogę ścierpieć rzuconego nań obwinienia...

Greifer zbladł straszliwie. —Ale proszę hrabiny, proszę hrabiny — ja — ja sobie nie przypominam... Zmierzyła go od stóp do głów, nie odpowiedziała i odeszła. Nieszczęśliwy młodzieniec stał jak wryty. Znał on dobrze panią Palczewskę, lecz mógłże się spodziewać, aby zacna Jaworkowska taką była paplą i puszczała w świat to, co tylko na prywatny użytek było przeznaczone? Widział przed sobą lufy pistoletów Pilawskiego, stracił głowę. Niewiedząc dokąd, pobiegł do téj, która go tak niebacznie zdradziła.

— Pani dobrodziejko — co pani uczyniłaś? krzyknął ręce łamiąc na progu. — pani powiedziałaś temu z pozwoleniem, cielęciu, Porfiremu, że ja.. że ode mnie dowiedziałaś się o panu Pilawskim.. ten się wypaplał.. mnie grozi..

— Dajże mi pokój, co ci grozi? pokażesz list i nic ci nie grozi — dajże pokój? Wszak list miałeś?

— Zgubiłem go — zawołał Greifer.

Jaworkowska stanęła przelękła.

— Czy pani poświadczy, żeś go widziała?

— Kiedym go nie widziała. Od kogóż był?

Greifer się za głowę pochwycił.

— Nie mogę zdradzić przyjaciela..

— No — to cóż ja na to poradzę! dajże mi pokój!. To trudno, mówiłeś co ci doniesiono, złożysz się tym, który pisał — nie masz go co oszczędzać! Jeśli zgrzeszył, niech pokutuje..

— Ale, na miłość Boga, pisano do mnie poufnie, jam poufnie powtarzał pani, przyjaciela zdradzić nie mogę, więc ja sam pokutować zań muszę.

— Pozwól że sobie powiedzieć, przerwała Jaworkowska — poufnie, a chciałeś sam, żebym to powtórzyła Domskiéj. Może Domska się wygadała, jam w tem nie winna nic.

— Nie pani Domska, ale ten ciemięga długowłosy, Porfiry.

Jaworkowska ruszyła ramionami. —Dajże mi ty pokój, bo mnie bólu głowy nabawisz, proszę, to trudno, ja na to, co się stało, nie poradzę. Puszczasz wiadomość w kurs, musisz jéj bronić.

Greifer z niecierpliwością uderzył się w czoło i bez pożegnania odszedł. W téj chwili jeszcze miał zupełną swobodę prędkiego wyruszenia z Krynicy, nie był wyzwanym, mógł o niczém nie wiedzieć — ściśle biorąc, wolno mu było pod jakimś pozorem, choroby czyjejś, interesu, drapnąć.. gdyby — gdyby Pilawski do celu nie strzelał, a hrabina spotkawszy go w drodze, nie rzuciła mu tych słów kilku. Okrył by się śmiesznością, gdyby nagle zniknął, a tego rodzaju grzechy u nas jak małoduszność i tchórzostwo, nigdy w towarzystwie żadną skruchą zmytemi być nie mogą. Pozostawało mu więc napisać testament, pożegnać przyjaciół i jak się sam do siebie mówiąc wyraził — pójść na ciepłe piwo do Abrahama. Przejednanie, tłumaczenie, odwołanie było niepodobnem..

Z posępną twarzą, powoli powlókł się pan Stanisław do mieszkania, czyniąc sobie wyrzuty, że postąpił bez taktu, niewłaściwie i dziecinnie. Miał i tę zgryzotę, że celu chybił, że popełniony grzech na nic mu się nie przydał. Goryczy kielich potrzeba było wypić do dna, świetna owa karjera, na którą tak mozolnie pracował, stosunki, przyjaźnie, zyskane prawo obywatelstwa w świecie tak pięknym, tak miłym, gineło wszystko marnie.. Młodzieniec wielkich nadziei, jak kwiat w pączku, paść miał podcięty kulą — i to jeszcze z takiéj ręki, która, nie nosiła może sygneta!!

Cały jeden dzień upłynął w oczekiwaniu i trwogach. Grejfer udawał że chodzi jak zwykle, nie obawiając się niczego, znajomi coś szeptali, Pilawski się nie ukazywał. Wiedziano tylko, iż p. Karol Surwiński dwa razy był u niego. Towarzystwo nie zbyt życzliwe nieznajomemu przybyszowi, wytłumaczyło sobie chwilowe zniknięcie pana Pilawskiego zamkniętego w mieszkaniu nie zbyt dla niego pochlebnie. Greifer choć trwożył się zrazu, ku wieczorowi nabrał lepszéj otuchy i uwierzył w to, że w istocie coś być musi, gdy Pilawski wiedząc już o potwarzy, nie dopomina się o nią. Że o niéj był uwiadomiony o tem głośno mówiła hrabina.

Trzeciego dopiero dnia, gdy już pan Stanisław odzyskał straconą pewność siebie i zwykły humor, prawie pewien będąc, iż mu to ujdzie płazem, zaszły następne okoliczności. Major, baron Hotkiewicz stał pod trzema gwiazdami i właśnie cyrulik zajęty był brodą jego, gdy do drzwi zapukano. Stary żołnierz huknął głośno. *Herein, — Entrez — Favorisca..*

W progu ukazał się p. Karol Surwiński i Gabriel Pilawski.

— A! *pardon excusez*, przepraszam, zawołał major, ale broda skończona tylko się ręcznikiem otrę i jestem na usługi, siadajcie. To mówiąc, odprawiał cyrulika i przyszedł im podać rękę.

— My byśmy pana barona powinni przeprosić — odezwał Pilawski — że o tak niezwykłéj nadchodzimy go porze, ale ośmielony przez p. Surwińskiego, ja tu przybyłem z prośbą.

— O! na usługi, jeśli w czem mogę. *bitte, bitte*, rzekł pospiesznie Hotkiewicz i siadł naprzeciw okraczając krzesełko. Był to jego ulubiony sposób siedzenia, podał cygara.

— Pozwolisz mi pan baron, moją sprawę opowiedzieć mówił daléj Pilawski. Puścił tu jawnie, niby z jakiegoś listu warszawskiego wyjętą potwarz na mnie p. Stanisław Greifer, jakobym był szulerem i oszustem. Nie jest dla nikogo tajemnicą ten fakt, są świadkowie. Obrazy takiéj honoru, przyznasz pan, panie majorze, ścierpić nie mogę, muszę żądać od niego satysfakcji. Do pana dobrodzieja przychodzę, prosząc go o opiekę i pośrednictwo. Lecz nie będąc panu znanym, muszę się złożyć dowodem, iż na to zasługuję.

To mówiąc pan Pilawski dobył z kieszeni papier.

— Znasz pan baron pewnie hrabiego Za... który powszechnie w Galicji jest znanym, chociaż naprzemiany mieszka tu i w królestwie — oto jest jego list na moje żądanie pisany, a że w téj chwili bawi w Iwoniczu łatwo sprawdzić.. Baron ledwie okiem chciał na list rzucić.

— Ale dosyć na pana spojrzeć *pour être persuadé, que vous êtez un galanthomme*, odezwał się — bez żadnego listu i świadectwa służę.

Podali sobie ręce.

— Prosiłbym majora zażądać od p. Greifera albo wskazania winowajcy, lub odwołania kłamstwa, albo dania mi satysfakcji.

—*Ist richtig*! najsłuszniejsza rzecz, spuść się pan na mnie. Masz kogo drugiego? zapytał baron.

— Ja służę, stary wojskowy także, rzekł Surwiński.

— Ubieram się w chwili jednéj — dodał major, *bin fertig.. i andiamo* z p. Karolem.

Hotkiewicz począł się ubierać spiesznie. Idź pan do domu, my panu damy wiedzieć.

Pilawski powierzywszy sprawę w tak dobre i chętne ręce, spokojny ruszył do hotelu. W chwilę potem baron z Surwińskim byli u drzwi Greifera i nim do nich zapukali, usłyszeli go chodzącego po pustym pokoju i świstającego arję z Normy z jakąś furją opętaną. Zapukano. —Proszę.

Na widok majora z Surwińskim, których miny surowe i zafrasowane coś niedobrego zwiastowały, Greiferowi głos zamarł w ustach, stanął jak wryty. Powitali się ukłonem. Z powitania tego znać było już deputowanych przychodzących w jakiéjś ważnéj sprawie. Pan Stanisław widocznie tracił animusz, milcząco posunął krzesła.

— Dziękuję, rzekł major, przychodzimy w dosyć przykrym interesie, ale trudno uczciwemu człowiekowi odmówić.. Surwiński się skłonił, z oczów mu błyskało szyderstwo.

— Co panowie każą? odchrząkując rzekł Greifer.

— Sprawa niemiła.. *accidente.. eine malicieuse Geschichte* jakaś to plotka poszła po Krynicy o panu Gabrielu Pilawskim, jakby on był awanturnikiem i szulerem. Tę wieść, *si fabula vera*, miałeś pan dobrodziéj, *das ist ein öffentliches Geheimniss*, puścić z jakiegoś listu. Przychodzimy więc w imieniu pana Pilawskiego żądać albo imienia potwarcy, albo odwołania publicznego potwarzy, lub honorowéj satysfakcji.

— Tak, satysfakcji honorowéj — powtórzył Surwiński.

Grejfer stał ręce powkładawszy w kieszenie, dumał.

— Pozwoli pan Baron.. wycedził wreście, że ja imienia osoby która w liście tę płochą i może fałszywą wieść puściła, wymienić nie mogę. Przyznaję żem powtarzając nieuzasadnioną pogłoskę — zawinił.. ale przepraszać i odszczekiwać nie myślę. Wiem, że pan Pilawski strzela do gwoździ, zatem..

Zakrztusił się.

— A ja panu poufnie — dodam — uśmiechając się — szepnął Surwiński, że na pałasze i szpady bije się jeszcze lepiéj, to gracz.

Grejfer, który już nie miał nic do stracenia ruszył ramionami. —Co mi tam!

— Plotkę trzebaby publicznie odwołać. — dodał Baron.

— A jakiż dowód, że to plotka? któż go zna? kto za nim świadczy? przerwał Greifer. —Wszak to może być prawda?

— Nie, — bo ja bym tu do asindzieja nieprzyszedł w téj sprawie, zawołał baron głos podnosząc *erlauben sie mahl das ist beleidigend für mich—pardon.. Scusa signore*. I dobył z kieszeni list hr. Za... który Grejferowi ukazał.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg).

— Gdzie jest Polly? zawołała Zuzia rozglądając się w około. O moja droga pani, dodała z żywością, skoro tylko dostrzegła tę której szukała,— moja pani najdroższa, zabieraj się prędko z nami, tylko prędke,— co najprędzéj.

— Ach to Zuzia! doprawdy to Zuzia! wykrzyknęła radośnie Polly, i w téj chwili po nad małą gromadka ukazała się jéj twarz poczciwa, macierzyńskiem szczęściem rozjaśniona.

— Tak jest, moja droga pani, ja to jestem a nie kto inny, choć doprawdy wielce bym rada była nie znajdować się tu w téj porze. Nie dziw się temu co mówię, oto widzisz mały nasz Pawełek bardzo jest chory, i dzisiaj zachciało mu się koniecznie zobaczyć swoją dawną mamkę. Prosił o to ojca, więc przyleciałam tu zabrać panią.... wszakże nie odmówisz i zapomnisz o wszystkiem co było kiedyś? Panna Flora i ten mały biedaczek tak bardzo o to cię proszą— zrób to dla miłości tego małego aniołka; już on tak krótko będzie z nami!

To mówiąc Zuzia na głos się rozpłakała, a z nią razem i Polly, co widząc dzieci poczęły się czepiać sukni matki i same nie wiedząc czemu, płakać jak ona. Toodle który jadł właśnie obiad, wróciwszy tylko co z drogi, wstał, od stołu, wziął z szafy chustkę i kapelusz żony, i podając je poklepał ją po ramieniu, te dwa tylko słowa dodając:

— Jedź, Polly.

Ale było w tych wyrazach tyle serca, że starczyły za wszelką dłuższą przemowę. Wrócono tedy co prędzéj do dorożki i obie kobiety siadły do niéj; Walter zaś umieścił się na koźle aby wskazywać najbliższą drogę woźnicy. Dojechano tą razą całkiem szczęśliwie do domu Dombeya; wprowadziwszy swe towarzyszki do sieni, młodzieniec je pożegnał i zabrał się do odejścia. Gdy przechodził obok pokoiku szwajcara, wzrok jego padł mimowolnie na ogromny bukiet leżący na stole, i przypomniał sobie w téj chwili kwiaty, które kupował z rana kapitan Cuttle idąc z nim do sklepu wuja. Ale inne myśli oderwały zaraz jego uwagę. Rad był módz się dowiedzieć jakim sposobem o zdrowiu Pawełka, a także zapytać, czy się nie mógł w domu na co przydać obecnie; nie odważył się wszelako tego uczynić, przypomniawszy sobie z przykrem uczuciem nieprzychylność Dombeya. Po chwili wahania, odszedł zwolna czując w sercu smutek dotkliwy.

Zaledwie się oddalił o jakie kilkadziesiąt kroków od domu, dopędził go służący wysłany aby go zawrócić. Przyspieszył tedy kroku z powrotem i znowu przestąpił próg owéj smutnéj siedziby, tą razą ze złowrogiem jakiemś przeczuciem.

II.

O czem też mówiły fale?

Pawełek nie wstał więcéj z łóżka od pamiętnego wieczoru u doktora i osłabienie jego coraz się wzmagało. Leżał sobie spokojnie całemi dniami, przysłuchując się gwarom miasta i pilnie śledząc oczami wszystko, co się działo w około niego. Zdawało się że mało dbał o przybieg czasu, nigdy prawie o godzinę nie zapytywał, a jednak w myśli zdawał sobie dokładnie sprawę z tego co pozornie nie zdawało się go obchodzić. Kiedy promienie słońca, padając ukośnie na żaluzje jego okien, przeciskały się pomiędzy ich szczebelkami i wpadały do pokoju, Pawełek wiedział że nadchodzi wieczór i że niebo się zapala blaskami zachodu. Gdy stopniowo promienie te zagasały i ciemność ogarniała ściany, przypatrywał się uważnie jak coraz stawała się gęściejsza, aż wreszcie noc wszystko całkiem zamroczyła. Wtedy wyobraźnią widział ulice posiane światłami i niebo od gwiazd jaśniejące; ale ze szczególnem upodobaniem wybiegał myślą na brzeg rzeki płynącéj środkiem olbrzymiego miasta, przypatrywał się téj ciemnéj wodzie odbijającéj gwiazd tysiące, i wyobrażał sobie ile ona jest głęboką i myślą szedł za jéj biegiem daleko — daleko — aż tam gdzie w morzu bezbrzeżnem przepadała.

W nocy gdy uliczne gwary się uciszały i można już było rozróżnić i policzyć kroki każdego przechodnia, słyszeć jak się zbliżały a potem jak stopniowo odchodziły daléj i coraz daléj, aż głos ich gdzieś zaginął. — Pawełek przysłuchiwał się temu z dziwnem zajęciem; kiedy zaś cisza zupełnie już nastała, czekał niecierpliwie świtu, przyglądając się tęczowym barwom okalającym płomień świecy palącéj się na stole i myśląc o wielu przeróżnych rzeczach.

W owych dumaniach Pawełka, jeden przedmiot wszelako nieustannie powracał, przeplatając wszystkie jego marzenia, a była nim owa rzeka tak głęboka i tak bystro płynąca. Zdawało mu się że na nią patrzy; czasem niby go coś kusiło sprobować ją, widział płynącą ciągle bez przeszkody, smutno mu się czegoś robiło i płakał. Ale jedno słowo nieodstępnéj od jego łóżeczka Florci, wystarczało do zbudzenia go z owych marzeń, wtedy opierał z uśmiechem swą zbiedzoną twarzyczkę na ramieniu siostry i opowiadał jéj, co za dziwne sny w głowie mu się roiły.

Za powrotem jutrzenki poczynał wyczekiwać słonecznych promieni, a gdy się wreszcie pojawiły, widział wyobraźnią, wysmukłe wieże kościołów, rysujące się na przejrzystym nieba błękicie, widział jak się miasto zbudzało i coraz bardziéj ożywiało, a tymczasem rzeka płynęła roziskrzonemi od słońca falami, — płynęła daléj i coraz daléj, świecąc coraz węższym wężykiem pośród łanów i łąk zwilżonych rosą poranną. Na ulicy poczynały odzywać się głosy i dźwięki dobrze znane dziecięciu; w domu słudzy zabierali się do codziennéj roboty, drzwi pokoju się uchylały i ukazywały się w nich twarze, zapytywano z cicha osób pilnujących Pawełka jak noc przepędził. Wtedy sam odpowiadał:

— Mam się lepiéj — o, daleko lepiéj: proszę to powiedzieć ojcu.

W dalszym ciągu dnia hałas uliczny, turkot powozów i szmer tłumu snującego się bez przerwy pod oknami, męczyły coraz bardziéj Pawełka: poczynał drzemać i wtedy ów sen nieodstępny znowu go nawiedzał. Co prawda, nie byłby sam umiał powiedzieć czy to był sen, czy też widział na jawie ową rzekę, lecącą zawsze tak szybko.

— Florciu, pytał czasem siostry — czemu się ona nigdy nie chce zatrzymać? Nieraz wydaje mi się że fale i mnie z sobą zabiorą.

Ale Florcia wynajdywała zawsze sposoby uspokojenia i rozweselenia biednego Pawełka. Nic mu milszem wtedy nie było, jak gdy siostra położyła głowę na jego poduszce i trochę tak przy nim wypoczęła.

— Ty zawsze przy mnie czuwasz Florciu, powiadał, niechże ja cię teraz popilnuję.

Układano mu wtenczas poduszki w taki sposób, żeby mógł siedzieć oparty przy siostrze podczas gdy drzemała. Pochylał się niekiedy ku niéj żeby ją pocałować, i mówił po cichu obecnym osobom, że Florcia musi być bardzo zmęczona po tylu nocach bezsennych przy nim spędzonych.

Tak upływały zwolna choremu jasne i ciepłe godziny południa; potem znowu słońce skłaniało się ku zachodowi i znowu przeciskając się po przez żaluzje, ostatnie jego promienie zalewały na chwil kilka ściany złocistemi światła falami.

Codziennie trzech lekarzy pojawiało się o jednéj porze w pokoju chorego, odbywszy poprzednio radę w dolnych pokojach. Za ich ukazaniem się nastawała cisza tak głęboka, że Pawełek którego uwaga, była wtedy bardzo natężona, nauczył się rozróżniać ruch zegarka każdego z tych panów. Szczególne jednak zajęcie obudzał w nim doktor Parker Peps, zasiadający zawsze obok jego łóżeczka. Słyszał bowiem kiedyś jak mówiono, że ten lekarz był przy jego matce, w chwili gdy skonała tuląc do siebie Florcię. Pawełek zachował na zawsze ów szczegół w pamięci, kochał Pepsa z tego powodu i bynajmniéj go się nie obawiał.

Z wyjątkiem siostry którą Pawełek widział zawsze przy sobie, wszystkie otaczające go osoby przemieniały się dziwacznie w jego oczach w coraz inne postacie. I tak, na miejscu gdzie przed chwilą był doktór Parker Peps, spostrzegał znagła ojca z głową wspartą na rękę; stara pani Pipchin zdrzemawszy się w krześle, budziła się panną Tox lub też panią Chick, a wszystkie te przemiany nie tylko, że nie sprawiały najmniejszego wrażenia na Pawełku, ale go nawet bawiły i nieraz zamykał na chwil kilka oczy, a potem je otwierał ażeby zobaczyć co nowego zaszło tymczasem. Jedna postać wszelako dziwnie poważna i milcząca, tak mu się często przedstawiała i tak długo nieznikała, że wreszcie Pawełek wyłącznie zwrócił uwagę na tego milczącego i posępnego człowieka, do którego nikt się nie odzywał i który tak rzadko podnosił głowę, zawsze wspartą na ręku. Stopniowo, widząc go wiecznie na jednem miejscu, Pawełek począł przypuszczać że może to było jakieś przywidzenie, a razu jednego, zobaczywszy go tam nawet w nocy, zląkł się i rzekł do siostry:

— Florciu, kto tam siedzi?

— Gdzie, moje kochanie?

— Tam, w nogach przy łóżku.

— Nie ma nikogo, tylko ojciec.

Milcząca postać podniosła głowę, potem powstała i zbliżywszy się, rzekła:

—Moje biedne dziecko, czyż mię ty nie poznajesz?

Pawełek patrzał na nią z niejakiem wahaniem, nie pewien czy ma przed sobą ojca. Dostrzegłszy tę jego wątpliwość Dombey zadrżał przejęty niewysłowionem cierpieniem i zanim syn wyciągnął ku niemu ręce, już wyszedł śpiesznie z pokoju.

Mocno tem wzruszony Pawełek spojrzał na siostrę ze łzami w oczach, ale zaraz potem przewidując co mu ona powie, zamknął jéj usta tuląc do nich swą twarzyczkę. Gdy następnéj nocy ujrzał tę samą postać siedzącą przy swem łóżeczku, zawołał:

— Nie martw się mną ojcze; doprawdy, jestem bardzo szczęśliwy.

Na te słowa, Dombey powstał i pochylił się ku niemu. Pawełek zarzucił mu rączki na szyję i po kilka razy powtórzył z naciskiem te słowa. Odtąd, ilekroć widział ojca wchodzącego do pokoju, zawsze zapewniał że się czuje lepiéj i co rano zalecał aby mu dawano tę samą wiadomość.

Któż powie, ile razy złociste fale powracały zalewać świetlaną powodzią ściany pokoju chorego? Przez ile dni i nocy bystre nurty rzeki pędziły ku morzu nie dając się nigdy powstrzymać? Czyż mógł to wiedzieć Pawełek. Ani chciał on ani umiał obliczać bieg godzin podczas swéj choroby a zresztą na cóż by mu się to przydało? Wiedział,

tylko że z dniem każdym zwiększała się troskliwość jaką go otaczano, że w miarę tego rosło w jego sercu błogie uczucie wdzięczności; — cóż go reszta mogła obchodzić?

Pewnéj nocy, myśląc o matce i o jéj portrecie umieszczonym w dolnéj komnacie, Pawełek powiadał sobie, że musiała ona bardziéj kochać Florcię niż to czynił ojciec, kiedy ją umierając tak mocno do siebie tuliła. Potem usiłował przypomnieć sobie, czy kiedy widział matkę i co mu o tem mówiono, ale myśli jego dziwnie się jakoś mąciły. Téj nocy rzeka płynęła tak bystro, że szum jéj wszystko zagłuszał!

— Florciu, spytał wreszcie; czy ja kiedy widziałem mamę?

— Nie, mój aniołku. Czemu o to pytasz?

— Więc mi się to śniło, że kiedy bardzo mały byłem, widywałem jakąś dobrą, łagodną twarz — pewnie twarz matki co na mnie wciąż patrzała?

Mówił to wahając się, jakby niewyraźna jakaś postać z jego wspomnień dziecięcych się wykreślała.

— To nie był sen, braciszku, odpowiedziała Florcia, widywałeś ją w istocie.

— A któż to był taki?

— To była twoia mamka, widywałeś ją ciągle przez czas dosyć długi.

— Gdzież ona jest teraz Florciu? Czy także umarła? czy już wszyscy poumierali, oprócz ciebie jednéj?

Po tem zapytaniu nastąpił w pokoju jakiś szmer i ruch chwilowy; wkrótce jednak zapanowała w nim znowu zwykła cisza. Florcia zbliżyła się do łóżeczka blada lecz uśmiechnięta, i podłożyła drżącą rękę pod poduszki Pawełka.

— Sprowadź mi moją mamkę, siostrzyczko, rzekł. Chciałbym bardzo ją widzieć.

— Nie ma jéj tu, moje kochanie, ale zobaczysz ją jutro.

— Dziękuję ci, moja dobra Florciu.

Po tych słowach, Pawełek zamknął oczy i wkrótce zasnął. Gdy się obudził było już południe i słońce jasno świeciło. Przez chwil kilka popatrzał na otwarte okna i na firanki które wiatr kołysał, potem rzekł

— Florciu, czy to już jutro? Czy ona jest tutaj?

Zdało się Pawełkowi że ktoś w téj chwili wyszedł z pokoju, — może była to Zuzia. Miał oczy zamknięte i tylko słyszał jak mówiła że zaraz powróci. Wkrótce potem dały się słyszeć kroki na schodach. Wtedy Pawełek znagła się rozbudził od razu duszą i ciałem, usiadł o własnéj sile na łóżeczku. Zobaczył wyraźnie wszystkich co go otaczali, nie dzieliła go już od nich owa mgła szarawa która tak często, zwłaszcza w nocy, wzrok jego przysłaniała. W téj chwili, poznawał każdego i nazywał go po mieniu.

— A ta, co to za jedna? czy to moja mamka? zapytał wpatrując się z rozpromienionym uśmiechem we wchodzącą kobietę.

Była to ona w istocie. Jakaż inna obca byłaby tak zapłakała spojrzawszy na niego? Jakaż inna byłaby całowała z tak gorącem uczuciem wychudłe jego rączki, tuląc je do piersi i nazywając go swoim najdroższym aniołkiem, swem dziecięciem ukochanem? Ona jedna tylko miała do tego prawo, ona jedna przechowała mu w sercu te skarby miłości i politowania, ona tylko mogła zapomnieć w téj chwili o wszystkiém, co nie było Pawełkiem i Florcią.

— Florciu jak ona wygląda dobrą i łagodną, rzekł Pawełek. Jakżem szczęśliwy że ją widzę. Mamko, nie odchodź już ztąd, zostań z nami.

Zmysły jego były w téj chwili natężone do najwyższego stopnia. Dosłyszał wyraźnie wyszeptane przez kogoś znane mu imię.

— Któż to wspomniał o Walterze? spytał patrząc w około siebie. Słyszałem, że ktoś o nim mówił. Czy jest on tutaj? Chciałbym z nim się zobaczyć.

Nikt mu nie odpowiedział na to zapytanie, ale Dombey wysłał zaraz Zuzię z poleceniem aby zawrócono młodego Gaya, który właśnie był odszedł.

Przez krótki czas który upłynął zanim ów rozkaz mógł być spełnionym, Pawełek patrzał z przyjaznym uśmiechem w twarz mamki swojéj i cieszył się widząc, że nie zapomniała także o Florci. Po kilku chwilach, Walter wszedł do pokoju.

Przyjemny wyraz twarzy młodzieńca i szczerość cechująca jego obejście, oddawna zjednały mu były serce Pawełka; gdy go zobaczył podał mu rękę i rzekł:

— Walterze, żegnam ciebie.

— Co? co mówisz moje dziecię? zawołała pani Pipchin rzucając się z przerażeniem ku niemu; toż to przecie nie jest pożegnanie?

Pawełek spojrzał na nią tym samym wzrokiem jakim się jéj nieraz przypatrywał, siedząc z nią przy kominku.

— I owszem, to jest pożegnanie, rzekł spokojnie; bywaj zdrów kochany Walterze, żegnam cię.

Potem, zwracając się w tę stronę gdzie był Dombey i wyciągając ku niemu rączkę dodał:

— Gdzie jest ojciec?

Zanim słów tych domówił, uczuł na twarzy jego tchnienie.

— Pamiętaj o Walterze, wyszeptał patrząc mu w oczy; pamiętaj o nim drogi ojcze; jam go bardzo kochał.

I wychudła jego rączka poruszyła się jeszcze w powietrzu, jakby chciał przésłać młodzieńcowi ostatnie pożegnanie.

— Teraz, połóżcie mię, mówił dalej. A ty Florciu, chodź tu blisko — bardzo blisko, żebym cię mógł widzieć.

Brat i siostra objęli się wzajemnym uściskiem. W tej chwili jasny promień słońca wciskając się do pokoju, oblał światłością tę ostatnią ich pieszczotę.

— Florciu, szeptał jéj z cicha Pawełek, o jakże szybko ucieka rzeka pośród zielonych brzegów zarosłych sitowiem! Ach! oto już do morza dobiega! Słyszę głos bałwanów — tak, to ich głos — to ona... zawsze tak się odzywały!...

I począł jéj opowtadać jak go rozkosznie usypiało kołysanie się łódki na falach, jak prześliczne były wybrzeża, jakie cudowne rosły na nich kwiaty i jak wysoko powyrastało sitowie... Teraz, łódka już płynie po morzu, — posuwa się zwolna — dalej widać kraj jakiś... Któż to stoi tam na brzegu?...

Złożył ręce jak do modlitwy, obejmując zawsze szyję Florci.

— To mama mówił po chwili; poznaję ją, bo do ciebie podobna. Powiedz im, że ten jéj portret który jest u doktora Blimbera, nie ma jéj anielskiego wyrazu. Jasność okrążająca jéj głowę, przyświeca mi w drodze...

Znowu na ścianie zabłysł promień złocisty, ale w pokoju nic się już nie poruszyło. Odwieczne widziało, to samo które po raz pierwszy pojawiło się na ziemi w dniu, kiedy człowiek poznał swoją nagość i odtąd na wieki tam pozostanie, — odwieczne widziadło któremu Śmierć na imię przeszło było tamtędy.

O wy wszyscy którzyście kiedykolwiek na śmierć patrzyli, dziękujcie Bogu że nam dał nieśmiertelność! A wy, dziecinne duszyczki, aniołowie nieba, wejrzyjcie i przyczyńcie się za nami, w chwili gdy szybki prąd śmierci unosić nas będzie, ku bezbrzeżnemu morzu wieczności!

III.

Pomyślne skutki zręczności kapitana.

Tejże saméj niedzieli tak obfitéj w ważne zdarzenia, kapitan udał się w odwiedziny do Dombeya, w celu zużytkowania znakomitego daru, jaki zdaniem swojem posiadał w najwyższym stopniu, wyśledzenia najtajniejszych i najbardziéj ukrytych pobudek ludzkich czynności. Przekonanie podobne miewają nieraz o sobie ludzie wyjątkowéj prostoty ducha, a jak wiemy, do ich liczby należał niezaprzeczenie zacny przyjaciel Gillsa. Przez całą drogę, pzymrużał oko w znaczący sposób, myśląc o przebiegłości, jaką zamierzał okazać w téj sprawie; dochodząc tedy do domu Dombeya, zdawał się pewien siebie i w ogóle wyglądał bardzo okazale. Ale wszystkie jego nadzieje rozbiły się o pierwsze słowa jakie usłyszał od zasmuconego Towlinsona. Dowiedziawszy się z wielkiem swem zasmuceniem o nieszczęściu grożącem domowi bankiera, kapitan uznał w swéj delikatności za stosowne oddalić się niezwłocznie. Pozostawił wszelako w bilet i bukiet, jako mały dowód życzliwéj pamięci, któréj zapewnienie polecił służącemu oświadczyć swemu panu, wraz z wyrazami najżywszego współczucia. Dodał iż nieomieszka ponowić nazajutrz swe odwiedziny.

Uprzejme te słowa nie obiły się nigdy o niczyje inne uszy jak Towlinsona; bukiet zaś porzucony przez dzień cały na stole szwajcara, poszedł nazajutrz do kosza do śmieci. Plan tak sztucznie i tak starannie przez kapitana ukartowany, runął od tegoż samego ciosu, który powalił o wiele rozleglejsze zamiary i świetniejsze nadzieje, tak jak bywa gdy lawina zmiatając w swym biegu lasy wyniosłe z gór pochyłości, sprząta zarazem i drobne krzewiny zaledwie od ziemi odrosłe i wszystko jednem wspólnem zniszczeniem zrównywa.

Gdy nad wieczorem Walter wrócił do domu ze swéj długiéj przechadzki, zakończonéj w sposób tak niespodziewany, czuł się głęboko wzruszony tem czego był świadkiem i tak był zajęty wiadomościami jakie przynosił, że na razie nie zauważył iż wuj wyraźnie niczego się jeszcze nie był od Cuttla dowiedział. Nie spostrzegł również znaków jakie mu ten ostatni dawał swym haczykiem, chcąc mu dać do zrozumienia, że należało unikać w rozmowie drażliwéj kwestji wyjazdu.

Gdy się wszelako kapitan dowiedział o wypadkach zaszłych w domu Dombeya, zrozumiał iż prędzéj lub później Salomon musi być o wszystkim zawiadomionym, skoro wszelka nadzieja bliskiego zobaczenia się z bankierem została straconą. Wyraz przykrego zakłopotania ukazał się chwilowo na jego twarzy. ale niebawem przedziwna ufność jaką pokładał we własnéj przebiegłości, poczęła znowu dodawać mu otuchy. Słuchając opowiadania Waltera, przemyśliwał zarazem nad sposobem jak najrychlejszego zobaczenia się z Dombeyem; — reszta musiała koniecznie pójść jak z płatka. Cuttle był święcie przekonany, że nie znajdowało się na całéj kuli ziemskiéj dwóch ludzi bardziéj dla siebie stworzonych jak on i Dombey. Na dowód tego przypominał sobie z upodobaniem owo spotkanie w Brighron, w którem każdy z nich tak stosownie i tak w porę się odezwał, i z którego obadwaj wynie-

śli tak korzystne nawzajem wrażenie. Czyliż pomyślne skutki téj pierwszéj rozmowy nie były dostateczną rękojmią dalszych powodzeń? Była to zatem tylko kwestja czasu; należało na teraz zwinąć żagle i trzymać się w miejscu, ale na to aby je potem rozwinąć pośpiesznie za lada chwilą sposobną i zdążyć szybko ku celewi, omijając zręcznie rafy napotykane po drodze.

Cały oddany tym błogim złudzeniom, kapitan słuchał w milczeniu Waltera, wsparłszy głowę na ręku i opłakując nie jedną łzą nieszczęście jakie dotknęło rodzinę Dombeyów. Współczucie jego doszło nawet téj miary, że począł w myśli rozbierać pytanie, czy nie byłoby stosownym a zarazem zręcznym krokiem, zaprosić do siebie Dombeya za pierwszem spotkaniem na skromny obiadek, i wtedy przy butelce rozmówić się z nim otwarcie co do dalszych losów Waltera. Przy bliższem wszelako rozpatrzeniu tego zamiaru, wzgląd możliwego pojawienia się w czasie obiadu wdowy Mac-Stinger, na któréj dobry humor nie zawsze można liczyć, zniewolił Cuttla do wyrzeczenia się owego środka.

Podczas gdy Walter skończywszy swe opowiadanie siedział smutnie zadumany nad nietkniętym talerzem, kapitan rozważał z właściwą sobie bystrością wszystko co spotkało młodzieńca w owym dniu pamiętnym, i wreszcie doszedł do przekonania, że odkąd Walter był świadkiem i uczestnikiem tak ważnych zdarzeń w domu swego pryncypała, mógł się uważać za członka jego rodziny i że tylko wrodzony brak zarozumiałości, był mu do tego przeszkodą. Cuttle znalazł w téj pewności niemałą otuchę a także ułatwienie w zawiadomieniu Gillsa o wyjeździe siostrzeńca. Zdaniem kapitana nie było już powodu martwić się tem ani niepokoić, odkąd przyszłość Waltera tak wyraźnie i tak wspaniale poczynała się wykreślać. Korzystając tedy z chwili którą uznał za właściwą, zawiadomił starego Sola o bliskim odpłynieniu Waltera do Indji, dodając że to był pierwszy krok na drodze wiodącéj go do najświetniejszych losów, i że sam dałby z chęcią sto tysięcy funtów, gdyby je posiadał, w zamian za to co miał Walter zarobić na téj podróży.

Salomon pozostał na razie w osłupieniu pod wrażeniem téj straszliwéj wieści, wpadającéj jak piorun do jego spokojnéj izdebki i niweczącéj zupełnie jego szczęście. Stopniowo jednak błyskotliwe złudzenia, któremi migotał kapitan przed zamglonym wzrokiem starca, poczęły go olśniewać po trochu. Półsłówka odnoszące się do bajecznéj fortuny Wittingtona, rozumowany rozbiór opowiadania Waltera, a nadewszystko niezachwiana wiara jaką Cuttle był sam przejęty, poczęła wywierać na jego przyjacielu swój skutek. Walter zdawał się ze swéj strony pełen najlepszych nadziei; tak więc w którą bądź stronę spojrzał stary Sol, potrzeba mu było uwierzyć, że powinien czuć się w téj chwili całkiem szczęśliwym.

— Wszystko to dobrze, rzekł po chwili, przesuwając nerwowym ruchem palce po błyszczących guzikach swego fraka z góry do dołu, jak gdyby liczył paciorki różańca, — ale widzicie moi drodzy, jam nie dzisiejszy człowiek: nie rozumiem wielu rzeczy i koniec końcem wolałbym mieć przy sobie mojego drogiego chłopaka. Mówię jak stary, sam to wiem dobrze, — ale mówię co czuję. On bo zawsze przepadał za morzem, dodał smutno spoglądając na Waltera, więc rad dziś że wyjeżdża.

— Wuju! zawołał z żywością młodzieniec, jeśli tak mówić będziesz, daję ci słowo że nie pojadę. Tak jest kapitanie, choćbym miał zostać kiedyś gubernatorem wszech Indji, nie ruszę się ztąd, skoro wuj myśli, że mogę być szczęśliwy z nim się rozstając.

— A co Gillsie? czy nietęgi z niego chłopak, rzekł kapitan wskazując stalowym palcem Waltera, i cóż ty na to? Czy przyjmujesz to poświęcenie?

— Nie, — opowiedział stary, przyciągając ku sobie Waltera i zatrzymując jego ręce w swoich: nie będę tyle samolubnym aby to uczynić. Cóż chcecie? jam człowiek stary i zgnębany przeciwnościami, cóż w tem dziwnego że mię ów niespodziany wyjazd nieco przeraził? Ale jeśli ma to być szczęściem dla mojego chłopca, potrafię oswoić się z tą myślą. Tylko powiedz kapitanie, czy na prawdę nic mi nie ukrywasz? Wyznaj i ty szczerze mój chłopaku, czy ta podróż ma w istocie przyszłość twą zapewnić? Nie udawajcie przede mną, mówcie mi wszystko i dla czego się pierwéj o tym wyjeździe nie dowiedziałem?

Ponieważ chodziło przedewszystkiem o uspokojenie starca, Walter przyłączył się z całą gorliwością do usiłowań kapitana, którego zadanie zostało tem o wiele ułatwionem. Wspólna ich obudwu wymowa nie zostawiając Gillsowi ani chwili wytchnienia i namysłu, oswoiła go wreszcie do pewnego stopnia z myślą owego rozstania, a raczéj może oszołomiła go tylko, tak iż wrażenie cierpienia jakiego doznawał nie było już w nim wyraźnem.

Nie wiele mu z resztą pozostało czasu do rozpatrzenia się w całéj téj sprawie, nie daléj bowiem jak nazajutrz Carkar starszy przysłał Walterowi listy wierzytelne potrzebne mu do drogi, a wraz z nimi zawiadomienie, że okręt *Syn i Spadkobierca* miał odpłynąć za dni kilkanaście. Zajęcia około przygotowań do podróży, o których Walter z umysłu jak najwięcéj rozprawiał, odjęły do reszty Gillsowi wszelką swobodę zastanawiania się nad położeniem, i tak upływały mu szybko nieliczne już dni, które miał spędzić z siostrzeńcem.

Kapitan Cuttle który tymczasem badał nieustannie Waltera co do jego stosunków z domem Dombeya, pragnąc być szczegółowo zawiadomionym o wszystkiem co się tyczyło tego przedmiotu, wpadł wreszcie na pomysł który odrazu wydał mu się bardzo szczęśliwym. Polegał on na tem, aby się udać wprost do Carkera i od niego się dowiedzieć o istotnem znaczeniu tego wyjazdu, i w ogóle o położeniu Waltera w obec jego pryncypała.

Zbawienne owo natchnienie nawiedziło kapitana w chwili, gdy po śniadaniu palił z rana fajkę w swem mieszkaniu, a nawiasem mówiąc tytuń miał wyborny. Postanowił niezwłocznie doprowadzić zamiar swój do skutku, potrzebował bowiem ukoić swe sumienie nieco zaniepokojone odwołaniem się Gillsa do jego szczerości, a zarazem wyjaśnić położenie Waltera w kantorze. Należało tylko działać zręcznie i ogłędnie, zbadać usposobienie Carkera i wtedy dopiero rozmówić się otwarcie, lub też starać się wyprowadzić go w pole, w razie jeśliby się nieprzychylnym okazał.

Nie tracąc zatem czasu, kapitan przywdział na nowo odświętne kamasze i przyozdobiwszy krawat szpilką pamiątkową, udał się na powtórną wyprawę nie potrzebując się już wystrzegać Waltera wyłącznie zajętego przyborami do podróży. Ponieważ tą razą szedł do biora, nie zaś do prywatnego mieszkania Dombeya, nie uznał za stosowne kupić bukietu, wszelako dla nadania sobie pewnego szyku, zatknął w dziurkę od guzika bardzo pokaźny żółty kwiatek i tak przystrojony, wszedł bardzo zwycięzkim krokiem w dziedziniec kantoru Dombeya, wypiwszy kieliszek rumu w sąsiedniéj cukierni, dla lepszego myśli rozjaśnienia.

— Powiedz mi, mój bracie — rzekł uprzejmie do woźnego którego naprzód napotkał, wszakże tu macie naczelnika wydziału nazwiskiem Carkera.

Perch nie zaprzeczył temu, ale dodał, że pan naczelnik bywał zawsze bardzo zajęty i nie pozwalał aby mu przeszkadzano.

— Rozumiem kochanku, odpowiedział Cuttle, nie tracąc fantazji; ale słuchaj no co ci powiem: nazywam się kapitan Cuttle.

To mówiąc, podniósł znacząco stalowy swój haczyk.

Prawdopodobnie widok tego niezwykłego przyczynku do postaci tajemniczego gościa, podziałał skuteczniéj od jego nazwiska na umyśle woźnego; spojrzawszy nań z pewną trwogą, oświadczył się gotowym pójść go zameldować do naczelnika.

— Nie jestem pewien, dodał, czy będzie miał czas pana przyjąć, ale w każdym razie sprobuję.

— Proszę mu tylko powiedzieć że się nazywam Cuttle, rzekł kapitan z wielką godnością, — a także że go nie będę trudził więcéj jak chwilkę.

Czekając powrotu woźnego, kapitan zasiadł na jego słupku i trzymając między kolanami ceratowy swój kapelusz, który się bynajmniéj od tego uścisku nie ugiął poprawił sobie włosy haczykiem i obtarł czoło chustką. Po chwili, Perch był z powrotem i poprosił z sobą kapitana do naczelnika.

Gdy Cuttle wszedł do gabinetu Carkera, zastał go stojącego w głębi pokoju przed kominkiem i przy wejściu został powitany od tego dygnitarza wejrzeniem bynajmniéj nie zachęcającem.

— Czy mam przyjemność mówić z panem Carkerem? spytał kapitan.

— Tak sądzę — odpowiedział naczelnik pokazując wszystkie zęby.

Kapitan przyjął z uśmiechem tę odpowiedź, która mu się wydała bardzo żartobliwą.

— W takim razie, rzekł rozglądając się po pokoju tyle ile na to pozwalała wysokość jego kołnierza, mam honor panu oświadczyć, że jestem kapitanem od marynarki i że się nazywam Cuttle, a także że pracujący w tutejszem biórze Walter jest dla mnie prawię synem.

— Walter Gay, rzekł Carker wyszczerzając znowu wszystkie zęby.

— On właśnie, — odpowiedział Cuttle. Najbliższe stosunki przyjaźni łączą mnie tak z nim jak z jego wujem. Ale sądzę że nazwisko moje nie jest panu obcem; słyszałeś je zapewne nieraz od pana Dombeza.

— Nigdy, odpowiedział Carker, otwierając usta jeszcze szerzéj niż przedtem.

— Miałem bowiem przyjemność, ciągnął daléj kapitan, poznać go w Brighton kiedym tam jeździł z Walterem w pewnym interesie...

— Do załatwienia którego miałem i ja zaszczyt wpływać, dorzucił Carker. Czy nie raczy pan usiąść? dodał uprzejmie.

— Widzę z przyjemnością, dodał kapitan korzystając z zaproszenia, że cała ta sprawa nie wyszła z pańskiéj pamięci. Chodziło wtedy o wuja Waltera, teraz rzecz idzie o niego samego, — w jego to interesie przyszedłem pana nawiedzić. Mówiąc między nami, dodał zniżając głos i pochylając się ku Carkerowi w sposób poufny, — radbym się dowiedzieć, czy wszystko tu idzie jak się należy i czy mój chłopak puszcza się w drogę z wiatrem pomyślnym?

— Nie rozumiem pana, odrzekł Carker prostując się bardzo wspaniale i zakładając w tył ręce. Jesteś pan może fachowym i chcesz mówić o naszym interesie?

— Właśnie, — odpowiedział kapitan, nie zrozumiawszy bynajmniéj znaczenia słów naczelnika.

(d. n.)

OPOWIADANIE ŻOŁNIERZA

WYDANE PRZEZ

Amadeusza Acharda.

(Dalszy ciąg).

Droga cała była niemal jedną kałużą. Szliśmy w błocie po kostki, wozy w głębokie koleje coraz zapadały. W około, same widać było chaty spalone, drzewa powalone o ziemię, pola spustoszone. Tak idąc, doszliśmy do Bareilles. Kto widział co się tam działo, nigdy tego nie zapomni. Rzec było można trąba po nad wioską przeleciała, wszystko z ziemią zostało zrównane. Nagromadzone stosy pozapadałych dachów i rozwalonych murów: szczątki zwęglonych sprzętów, połamane belki i krokwie, wozy i pługi, kawałki drzwi i okiennic u zawias pouwieszane, poniszczone ogrody ze szczerniałemi drzewami i winnicami, tu i owdzie leżące bydlęta od kul pozabijane, wszędzie ślady świeżéj pożogi, — oto obraz jaki oczy nasze uderzył. Stąpaliśmy po czerepach granatów. Miejscami, na murach jeszcze z gruzów sterczących, widać było plamy ciemno czerwone. Ręka jakaś zostawiła krwawy ślad pięciu palców na ścianie świeżo pobielonéj, miejscami, u płotów pozostawały uczepione strzępy bielizny i odzienia, na jakimś krzaku widać było jeszcze dwie dziecinne pończoszki, które się tam suszyły. W przedniéj ścianie domu podziurawionego od kartaczy, widać było na oknie w którem ani jedna szyba nie pozostała, dwie ładne błękitne doniczki z kwiatami. Kilku nieszczęśliwych słaniało się pomiędzy temi gruzami, z których wydzielała się wstrętna woń trupiéj zgnilizny. Na ziemi, walały się kawałki różnéj broni połamanéj. Był to widok ohydny, straszny, a zarazem rozdzierający serce. Zdawało się że nieszczęsnéj wiosce téj, wypruto wnętrzności. Z pod szopy na wpół rozwalonéj, rodzina jakaś, zaledwie nędznemi łachmanami odziana, wyglądała, przypatrując się z trwożnem wejrzeniem naszemu pochodowi. Nadaremnie szukała ona w tych zgliszczach swego ogniska: niedola jéj przewyższała jeszcze naszą. Przechodząc, żołnierze rzucali kawałki sucharów tym nędzarzom.

VII.

Minęliśmy Bareilles, nie zatrzymując się tam. Każdy nasz etap był zawczasu wyznaczony, równie jak i czas w którym mieliśmy gdzie przybyć. Wyszedłszy z Sedanu o jedenastéj z rana, stanęliśmy w Stenay o ósméj wieczorem, w ciągu téj podróży dano nam tylko pół godziny do wytchnienia. Przyjemna niespodzianka czekała mię w Stenay. Oficer który wziął mię był za ordynansa i którego życzliwość stworzyła pomiędzy nami stosunek niemal przyjacielski, dał mi nowy dowód swéj przychylności, przedstawiając mię zamieszkałemu w miasteczku dawnemu kapitanowi naszego pułku, który otrzymał był od władz pruskich pozwolenie ugoszczenia u siebie swych towarzyszy. Zostałem zatem zaproszony do jego stołu i naprawdę nie pamiętam, aby w życiu mojem jakikolwiek obiad lepiéj mi smakował. Od tygodnia przeszło żyłem tylko otrębami wodą rozrobionemi, całodzienny pochód dodał mi jeszcze apetytu; jadłem też za czterech, ani nawet wiedząc o czem w koło mnie rozmawiano. Gospodarz domu śmiał się szczerze, widząc jak zmiatałem potrawy z napełnionych talerzy, które mi podawano. Po obiedzie, zaprowadził nas do sypialnego pokoju, zachęcając abyśmy co najprędzéj do spoczynku się zabrali. Łóżka i kanapy należały się z prawa oficerom, ja zaś położyłem się na dywanie i w jednéj chwili zasnąłem snem kamiennym.

Nazajutrz gdy zbudzony ruchem jaki już w domu panował sprobowałem podnieść się, przyszło mi to z niejaką trudnością. Czułem ból we wszystkich kościach, do tego otarłem był sobie mocno nogę w drodze, co mi sprawiało dość przykre cierpienie. Bądź co bądź, nie była to pora myśleć o wypoczynku: zebrałem się więc co prędzéj aby módz zjeść jeszcze śniadanie przed wyjściem w dalszą drogę.

Pokrzepiwszy się nieco wybornem jedzeniem jakie nam podano, prosiłem wstając od stołu, aby mi wolno było zabrać pozostałe kawałki chleba; pamięć doznanego głodu uczyniła mię była przezornym i w dalszym ciągu naszego pochodu nie pożałowałem wcale mojej ostrożności. O dziewiątéj godzinie ruszyliśmy znowu w pochód, i znowu brnąć nam przyszło jak wczoraj w błocie, lub po ostrych kamieniach się potykać. Zrazu myślałem że nie potrafię iść daléj, tak mię mocno noga bolała, z czasem wszelako zdołałem przemódz cierpienie i wlokłem się jako tako za drugiemi.

Przykrości i nędze téj ciężkiéj wędrówki przeszły o wiele to, czegom był doznał w dniach naszego pobytu w Glaires. Około południa, kolumna nasza wijąca się długą wstęgą po drodze, przedstawiała widok opłakany. Co chwila ktoś padał na ziemię znużony, lub potknąwszy się, nie miał już siły się podnieść. Nie wszyscy jeńcy mieli w Stenay nocleg podobny naszemu: być może że brakło w pochodzie niektórym energii, większa część jednak była w istocie wycieńczona głodem i zmęczeniem. Coraz więcéj naszych pozostawało z tyłu; oderwani od kolumny, padali jak zeschłe liście, które wicher z drzewa otrząsa. Żołnierze eskortujący nas przypadali ku nim i kolbami bili, dopóki ich nie zmusili podnieść się z ziemi. Gdzie kolba nie wystarczyła, przychodził jéj w pomoc bagnet. Zbici pokaleczeni nieszczęśliwi ci usiłowali wlec się daléj, ale nieraz zaledwie uszli kilka kroków, znowu padali i już wtedy daremne były razy i groźby straży. Bezwładne te ciała pozostawały za nami po drodze: do idącego za nami plutonu pruskiego należało oczyszczać z nich drogę.

Powiadano że tylna straż owa, mająca obowiązek pilnowania porządku całego pochodu, dobijała wszystkich jeńców, których zastawała leżących po rowach lub na drodze. Czy tak było w istocie, czy ze względów ogólnego bezpieczeństwa postanowiono uważać za dezerterów jeńców zostających się w tyle? na to pewnéj nie umiem dać odpowiedzi. To jedno zauważyłem, że na żadnym nigdy etapie nie zdarzyło mi się zobaczyć więcéj nikogo z pozostałych za nami towarzyszy, a przecież łatwo byłoby straży zbierać ich po drodze i na wozach daléj dostawiać.

O południu, dano nam pół godziny do wypoczynku. Posiedziawszy czas jakiś, zaledwie podnieść się potrafiłem. Noga ciężyła mi jak ołów, niepodobna mi było dłużéj w bucie wytrzymać. Zdjąłem go więc i przez czas jakiś doznałem pewnéj ulgi, ale zanim kwadrans minął już szkarpetki moje wełniane podarły się w kawałki i szedłem boso po kamieniach, co nie było także rzeczą bardzo przyjemną.

Późnym już wieczorem, dowlekliśmy się do wioski gdzie nam nocleg wyznaczono. Jakże uroczym był mi widok światełek zwiastujących ogniska po chatach porozpalane! Już sobie wyobrażałem błogą chwilę w któréj wysuszę się wreszcie po dwudniowym deszczu jaki nam wiernie w drodze towarzyszył, kiedy w tem zwrócono nas ku drzwiom kościoła na rozcież przed nami roztwartego. Tam to mieliśmy noc przebyć, bez żywności, bez ognia, do rozgrzania się i oszuszenia.

Było nas około ośmiuset, woda lała się strumieniami z naszego odzienia; zaledwie weszli do kościoła, posadzka zamieniła się w jedną kałużę; to miało być naszem posłaniem. Poczciwy pleban téj ubogiéj parafii ulitował się nad naszą nędzą, i zasilił nas cokolwiek chlebem i kartoflami. Zacny ten człowiek pozostał do póżna z nami, krzepiąc nas i pocieszając ile tylko mógł, wreszcie wystarawszy się drzewa, kazał rozpalić przed kościołem spore ognisko przy którem grzeliśmy się wszyscy po kolei, błogosławiąc naszego dobroczyńcę.

Wypadło mi wreszcie pomyśleć o spoczynku! Wyszukawszy sobie gdzieś kącik na ławce, położyłem się na tem niezbyt wygodnem posłaniu i wkrótce zmęczenie powieki moje skleiło. Przenikliwe zimno nie dało mi jednak spać długo, przed świtem już byłem obudzony, ale gdy przyszło wstawać zdało mi się że na ten raz, ani podobna mi będzie krokiem naprzód postąpić. Noga spuchła mi przez noc w sposób przerażający. Czegóż nie dokaże jednak siła konieczności! Na samo wspomnienie obejścia jakiego doznawali jeńcy upadający od znużenia po drodze, uczułem w sobie energję która musiała cierpienie zwyciężyć. Jakto? czyżby takiéj hańby przyszło jeszcze doczekać? Nie. — raczéj do ostatniego tchnienia wszystkich sił z siebie dobywać i paść wtedy dopiero, gdy śmierć ciało rzuci o ziemię! Na pierwsze wezwanie gotów byłem do wymarszu. Zrazu zimny pot występował mi na czoło, gdy przyszło nadążać za kolumną, po pewnym czasie jednak ból nogi zdał mi się zmniejszać, być może że gorączka podtrzymywała mię i mniéj wrażliwym czyniła na cierpienie. Uszedłszy z jaką milę, ze zdumieniem uczułem że daléj iść potrafię, wszelako wysiłek na jaki zdobyłem się w tym razie wyczerpał był poniekąd we mnie zdolność zwrócenia myśli ku czemukolwiek innemu, szedłem i szedłem, ciągle tem tylko zajęty aby w tyle nie pozostać. Był to machinalny pochód w którym napotykane przedmioty przedstawiały mi się jakby mgłą szarą przysłonione. To jedno pamiętam wyraźnie, że miejscami wieśniacy zdjęci litością na widok tego taboru przeciągającego długą wstęgą coraz się rwącą, zbliżali się ku nam nieśmiało i stawiali przy drodze dzbanki z wodą lub z mlekiem. Ale byleby tylko który z nas, dręczony głodem lub pragnieniem, sprobował skorzystać z téj jałmużny, zaraz podbiegali żołnierze od eskorty i kopnięciem nogi dzbanki wywracali. Nieraz dopomagali im w téj robocie oficerowie, śmiejąc się do rozpuku gdy widzieli porozlewaną na ziemi nadzieję naszego posiłku.

Tego samego dnia po południu, nie zapomnę nigdy téj chwili, przechodząc przed ubogą chatą spostrzegłem wieśniaka, który probował podawać kawałki chleba przechodzącym więźniom. W nadziei skorzystania z jego dobréj woli, wychyliłem się z szeregu, wyciągając rękę, ale w mgnieniu oka idący za mną żołnierz, uderzył mię kolbą z taką siłą, że padłem jak długi, twarzą o ziemię. Chwila ta dała mi miarę mojego przygnębienia. Wstawszy z rękami pełnemi błota, poszedłem daléj, nie spojrzawszy nawet kto mnie uderzył. Bywają w życiu godziny ostatecznego znękania, w których nawet zdolność do oburzenia się zamiera w człowieku, tak jak gdyby w nim zwierzę już tylko przy życiu zostało. Na ten raz być może iż usposobienie podobne, stało się dla mnie ocaleniem życia.

Jakim sposobem dowlokłem się do Etain, gdzie mieliśmy nocować, sam o tem nie mam dokładnego pojęcia. Nieraz już, ogarnięty niewysłowionem znużeniem, o mało nie osunąłem się na ziemię, ale wte-

dy cucił mię odgłos ciężkich kroków idącego za mną żołnierza i bezwiedny niemal instynkt zachowawczy pchał mię znowu naprzód. Gdy nasza kolumna zatrzymała się na głównéj ulicy miasteczka, naczelnik eskortujący nasz oddział rozkazał uszykować przed sobą oficerów i zawołał wrzaskliwym głosem:

— Panowie oficerowie zechcą dać słowo honoru, że się stawią do wymarszu na rynku, jutro o dziewiątéj z rana.

Nikt nie odpowiedział.

— Czekam na oznaczoną godzinę, dodał prusak i odszedł.

Oficerowie porozchodzili się po mieście, szukając gdzie się pokwaterować, toż samo i nam ordynansom wypadło uczynić, skoro byliśmy na tę noc własnemu przemysłowi zostawieni. Co do mnie, myślałem tylko o tem aby się pomieścić jak najbliżéj i właśnie rozpatrywałem się w około dla odkrycia gdzie szyldu gospody, kiedy w tem ręka jakaś dotknęła łagodnie mojéj. Obejrzałem się, młody chłopak stał przedemną, nieśmiały i zarumieniony.

— Czy pan z trzeciego pułku zuawów? spytał...

Usłyszawszy potwierdzającą odpowiedź, dodał:

— Matka moja ma brata, który służy w zuawach, bardzo byłaby szczęśliwą gdyby oficerowie znajdujący się tutaj chcieli w jéj domu przenocować. Przyjmie ich, czem tylko będzie mogła.

Udzieliłem co prędzéj téj radośnéj wieści najbliższym kolegom, ci daléj ją roznieśli i niebawem kapitan mój w towarzystwie kilkunastu oficerów znalazł się pod gościnnym dachem pani L.. Za swemi dowódzcami poszły i ordynanse, tak iż było nas tam zebranych ze dwudziestu kilku. Opatrzywszy się, niektórzy z nas chcieli odejść, w obawie nadużycia dobréj woli naszéj opiekunki, ale zacna ta kobieta ani o tem słyszeć nie chciała i stanąwszy przede drzwiami, zapowiedziała, że ani jeden z jéj gości przed jutrem z domu nie wyjdzie. Co prawda, nie bardzo w tym razie obstawaliśmy przy swojem, co do mnie przynajmniéj, wyznaję iż delikatność moja wielce miękki opór stawiła. Noga bolała mię tak okropnie, że w istocie niepodobna by mi było prawie iść gdzie daléj szukać schronienia. Z jakąż rozkoszą położyłem się na posłaniu dla mnie przeznaczonem! A jakie było to posłanie! Wyborny materac, pierwszy jaki napotykałem od mego wyjazdu z Paryża. Z pewnością, nic nie mogło w téj chwili bardziéj zachwycić moich oczu, jak widok tego łóżka z kołdrą i czystemi prześcieradłami, w którem miałem wypocząć przez kilka godzin. Nie na tem poprzestała gościnność zacnéj naszéj opiekunki Dowiedziawszy się że miałem nogę spuchniętą i poranioną, sama mi ją obmyła i opatrzyła ze zręcznością i z poświęceniem się prawdziwéj siostry miłosierdzia, potem chciała abym poszedł zjeść obiad z oficerami, ale odmówiłem tego, uważając tem mniéj za stosowne równać się ze starszemi w stopniu ode mnie, że wspólna nasza niedola odjęła im była prawa zaszczytną służbą nabyte. Pani L.. odeszła zatem aby się zająć swemi gośćmi, zalecając mi tylko abym o sobie pamiętał i kazał sobie podać w kuchni jedzenie dla mnie przygotowane.

Poczciwa służąca, nie mniéj uprzejma od swój pani, uraczyła mię wybornym obiadem, litując się mocno nade mną ze względu nadzwyczajnego mojego apetytu, świadczącego o poprzednich postach.

— Patrzcie na tego nieboraka, to go dopiero wypościli! mówiła. I to chrześcjanie tak się nad ludźmi znęcają!

Potem zamyśliwszy się, dodała:

— I do czego to się też wojna na świecie przydać może?

Nie znalazłem na razie odpowiedzi na to zapytanie.

Spałem jednym tchem do rana. Nazajutrz, uczułem się o wiele raźniejszy, wypoczynek rozjaśnił moje myśli i przywrócił mi możność rozważania mego położenia. Zastanawiając się nad niem, uznałem że nie pozostawało mi jak pilnować bacznie pierwszéj sposobności do ucieczki. Ale czyliż mogłem napotkać lepszą jak ta, która mi się obecnie nadarzała? Po raz pierwszy odkąd byliśmy w drodze, czujność naszych dozorców zwolniała była nieco: miałem do tego w trzosie dosyć złota, aby módz liczyć na czyjąkolwiek pomoc. Powziąłem tedy stanowcze postanowienie nie odkładania dłużéj wykonania mojego zamiaru.

VII.

Raz na tem stanąwszy, uczułem się spokojny i pełen otuchy. Ubrałem się co prędzéj i zeszedłem na dół, gdzie zastałem oficerów już żegnających naszą gospodynię. Z obu stron wzruszenie było widoczne, któż wiedział co nam chowała przyszłość i czy się mieliśmy kiedyś jeszcze znaleść pod tym gościnnym dachem?

Gdy wreszcie próg domu przestąpić nam wypadło, każdy poszedł w swą stronę, chcąc się w cośkolwiek zaopatrzyć na drogę. Korzystając z ogólnego pośpiechu, puściłem się szybko w boczną ulicę, niby szukając sklepiku z pieczywem. Było już pół do dziewiątéj, pozostawało mi zatem tylko pół godziny czasu. Oddaliwszy się już sporo od środka miasta, spostrzegłem przededrzwiami jakiegoś domu, wieśniaka zajętego przeliczaniem drobnych pieniędzy. Z oczu patrzało mu jakoś poczciwie, wyglądał do tego roztropny; zbliżyłem się do niego i bez żadnych przygotowań rzekłem mu do ucha.

— Dostaniesz dwieście franków, jeśli mię cało dostawisz do Belgji.

To mówiąc, pokazywałem mu ukradkiem błyszczące sztuki złota które w ręku trzymałem. Wieśniak podrapał się w głowę, potem począł wsypywać do skórzanego woreczka swoje miedziaki, przypatrując mi się z podełba wreszcie zapewniwszy się, że nikt go nie słyszy, rzekł krótko:

— Chodź pan za mną.

Usłuchałem go. Szedł sobie spokojnie, pogwizdując z cicha. Przechodząc rozmaitemi uliczkami i zaułkami które zdawały mi się nie mieć końca, napotykaliśmy nieraz pruskich żołnierzy, ci mi się przyglądali, ale ponieważ godzina wymarszu nie była jeszcze nadeszła, żaden z nich mię nie zatrzymał. Zaledwie mogłem odetchnąć, tak silnie uderzało we mnie serce. Po drodze, licho nadało jakąś babę, która wdała się w rozmowę z moim przewodnikiem, — byłbym ją w téj chwili z rozkoszą udusił. Wieśniak zwolnił kroku, pomówił z nią trochę, potem pożegnawszy ją, poszedł daléj ciasnym jakimś zaułkiem. Zaczynałem zapytywać z pewnym niepokojem gdzie mię prowadził ten nieznajomy człowiek, kiedy wreszcie weszliśmy do małego domku bardzo ubogiéj powierzchowności.

— Idź pan zaraz na strych, rzekł do mnie wieśniak wskazując mi w sieni wązkie schody, raczéj podobne do drabiny, i nie pokazuj się aż cię zawołam.

W jednéj chwili, już byłem na poddaszu, tam przebyłem w zupełnéj ciemności kilkanaście minut z których każda wydała mi się długą jak noc bezsenna. Nasłuchiwałem uważnie, przykładając ucho do szpar jakich nie brakło w ścianach. Głuchy gwar jakiś zdawał się dochodzić od środka miasta, jak gdyby oddział wojska był w marszu. Czy tylko nie spostrzeżono że mnie tam brakło?... Znagła drzwi od poddasza stę otworzyły i wieśniak okazał się ze sporem zawiniątkiem pod pachą.

— Ubieraj się pan żywo rzekł rzucając mi je na ręce, teraz sama na to pora.

Zrzuciłem co prędzéj z siebie całe moje wojskowe ubranie; wypadło mi nawet rozstać się w téj stanowczéj chwili z wełnianym szalem, który tak wiernie służył mi dotąd i od zimna ochraniał. Wjednéj chwili ze zuawa zostałem przeistoczony na zbiedniałego rzemieślnika; ubranie miałem nędzne i wyszarzane, błękitną bluzę wytartą na łokciach, czapkę z obdartym daszkiem, słowem, wyglądałem na biedaka nie mającego nic w sobie co by mogło czyjąkolwiek zwrócić uwagę. Towarzysz mój widocznie był sobie podchmielił dla odwagi; krok miał nawet nie bardzo pewny, ale przytomność umysłu w zupełności mu pozostała.

— A wąsy? a bródka? rzekł; — wszystko mi to precz zaraz, mój panie.

Niegodziwe jakieś nożyczki zastąpiły w tym razie nieobecną brzytwę i niebawem byłem gotów do drogi.

— Teraz jeszcze kij w rękę i fajeczkę w zęby, dodał mój przewodnik.

Weszliśmy do sklepiku, gdzie kupiłem fajkę i paczkę bakonu, trochę daléj, nabyłem gruby kij z rzemykiem do zawieszania go u ręki.

— Ruszajmyż teraz, rzekł wieśniak, tylko spokojnie, jak gdyby nic nigdy.

Jedna mię tylko rzecz niepokoiła. Kiedym wyjeżdżał z Paryża, chcąc o ile możności nadać sobie powierzchowność starego wiarusa, kazałem sobie obyczajem afrykańskich zuawów, podgolić część głowy do czoła. Jakkolwiek włosy na niéj już odrastały, były one jeszcze znacznie krótsze od reszty, postanowiłem tedy nie zdejmować pod żadnym pozorem czapki z głowy, choćby nawet sam pełen chwały Moltke pojawił się przedemną na czele swego promienistego sztabu. Najosobliwsze przywidzenia nieustannie mię nawiedzały. Zdawało mi się że każdy mię poznaje, tacy nawet którzy mię nigdy nie widzieli. Zaledwie kto spojrzał na mnie, zdawało mi się że zaraz zawoła: Bierzcie go! to jeniec francuzki, to zuaw co ucieka! Lękałem się napotkać spojrzenie ludzi którzy przechodzili koło mnie; idąc starałem się naśladować gburowatą postać i kroki ociężałe mojego przewodnika.

— Ależ to miasto całą gębą, to wasze Etain, rzekłem wreszcie do niego. Ani sposobu dojść do jego końca.

W rzeczy saméj, jakkolwiek szliśmy dopiero z jakie pięć minut, zdawało mi się że z pół mili ulic pozostało za nami.

Doczekałem się wreszcie ostatniéj. Jeszcze chwil kilka a będziemy za miastem. Ale cóż to znowu widzę przed sobą? Ni mniéj ni więcéj jak pruskiego szyldwacha przechadzającego się wdłuż i wszersz po drodze. Co tu począć? o odwrocie ani myśleć wyraźnie mi to powiada znaczące spojrzenie mojego towarzysza.

(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 2.

N. 31. Pokój umeblowany dla lalek. Wykonanie po-



N. 3. Kokarda do kołnierzyka lub do sukni.



N. 1. Kołnierzyk z patkami. Patrz N. 2.



N. 4. Chusteczka muślinowa z haftem i koronką. Haft patrz N. 5.



N. 6. Kołnierzyk z ranwersem. Robota szydełkowa i plecionka w ząbki Patrz N. 7 i 8.



N. 9. Krawatka tiulowa ozdobiona robotą szydełkową i plecionką w ząbki.



N. 2. Mankiet do kołnierzyka N. 1.



N. 7. Mankiet do kołnierzyka N. 6.

koju i mebli jest nader łatwe i mało zajmie czasu, a może stanowić gustowną zabawkę dla małéj dziewczynki, która przy pomocy i pod kierunkiem starszéj osoby, mogłaby go własnemi rękami wykonać.

Ściany pokoju odrobione są z grubéj i sztywnéj tektury, a wielkość ich jest dowolna, tylna ściana na podanym wzorze 21 cent. szeroka, a 27 wysoka, ma ściany boczne, przytwierdzone skośno na 3 cent. szerokości, są one po 12 szerokie a 30 cent. wysokie z przodu. Sufit ścięty skośnie 28 cent. do 21 szerokości, z frontu przyozdobiony rodzajem lambrekiny, wyciętéj w zęby i obdzierganéj. Meble wyjąwszy krzesełka odrobione są z tektury, pokryte kanwą skórzaną i łączone niewidocznie kilkoma ściegami białéj nici lub czarnéj włóczki. Nogi do fotela i kanapy odrobione są z cienkiéj trzciny i pokryte kanwą, która przykleja się na trzcinie. Krzesełko odrobione jest z pręcików drewnianych zakładanych w ziarnka grochu, pokrycie na siedzeniu i poręczy dane z kanwy. Na dywan potrzeba kawałka brązowéj ceraty 24 cent. długiego, a 18 szerokiego. Zielona plecionka w zęby, zakończa brzegi. Wyszycie na dywanie składa się z wełnianéj plecionki, przymocowanéj ściegiem krzyżowanym pąsową i czarną nitką; narożniki wyszyte zielono ściegiem cierniowym i żółto, łańcuszkiem.

N. 32—34 Gwiazdka i koszyczek do przyozdobienia drzewka dla lalki. N. 32 — 33. Gwiazdka ta składa się z czterech kwadratów, stopniowanéj wielkości od 6 — 11 cent., których formę wskazuje rycina 33. Listki od trzech spodnich kwadratów przeciągają się przez wycięcia w czwartym zwierzchnim kwadracie. Piąty kwadracik gładki, ma w środku wycięcie w kształcie gwiazdki.



N. 10. Berta z koronek i krepy.



N. 11. **Pelerynka** przyozdobiona wyszyciem ze sznuru jedwabnego.



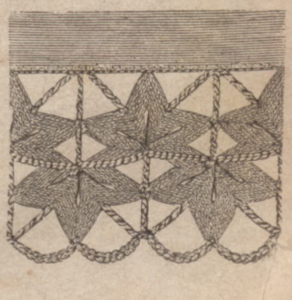
N. 12. Pelerynka stembnowana oszyta puszkiem łabędziem.



N. 13. Suknia ze stanikiem pod szyję i baskiną.



N. 5. Haft na tiulu do chusteczki N. 4.

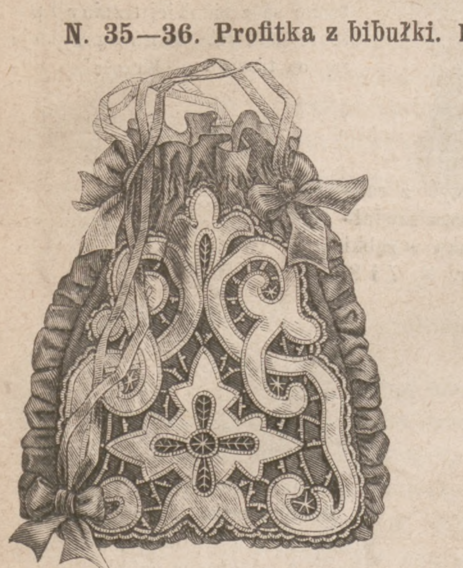


N. 8. Oszycie z plecionki spajanéj szydełkiem do N. 6.

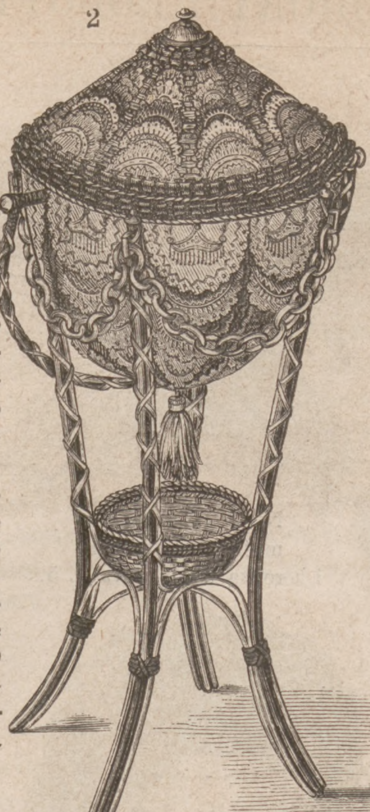
N. 34. Koszyczek odrobiony jest z nacinanego papieru lub bibułki kolorowéj; szlaczki stanowi złota bordiurka; denko podlepia się sztywniejszem a pałączek skleja z bordiurki.

N. 35—36. Profitka z bibułki. Profitkę wskazaną przez nas każda z czytelniczek potrafi sobie odrobić, mając wzór przed oczami. Składa się ona z kwadratów bibułki 6 cent: długich, zaokrąglonych po złożeniu z nacinanym bardzo drobno brzegiem, jak to N. 36 wskazuje.

Kolory bibułek na takie profitki dobierają się podług gustu odmienne lub też w kilku odcieniach. Podstawę do profitki stanowi podłożenie z tektury. 20 białych, 20 różowych złożonych części, i stanowi profitkę podaną w dzisiejszym N. Tygodnika.



N. 14. Torebka do robót. Haft na płótnie, deseń patrz N. 15.



N. 17. Koszycze... do robót na postumencie z lambrekinami. Patrz N. 18.

N. 37. Paletocik obłożony imitacją futra. Model ma z przodu 61 cent: a z tyłu 67 cent. długości i odrobiony jest z brązowego dubeltowego materjału sukna. Garnirunek składają pliski pluszowe, 4 cent. szerokie, brązowe, naśladujące doskonale futerko wydry i pentelki naszywane z sutaszu, podług wzoru N. 25. Trzy guziki brązowe szmuklerskie, zapinają z przodu paletocik.

N. 38. Paletocik z marynarskim kołnierzem. Przy paletociku z szafirowego aksamitu wełnianego, zapinanym wzdłuż całego przodu, dane naszycie z 1 centym. szerokiéj, wełnianéj plecionki, kręconego jedwabnego sznura i guziki duże rypsowe, wszystko w czarnym kolorze. Wykrój pod szyją, zakończa kołnierz marynarski, oszyty kordonkową frendzlą. Dopasować go można z kawałka materjału 26 cent. długiego i 16 szerokiego, który przy wykroju szyi podcina się okrągławo w ten sposób, iż w pośrodku szerokość kołnierza 9 cent. wynosi. Przody zakładające się jeden na drugi, przy zapięciu na guziki, mają podłożone skosy podszewki 6 cent. szerokie.

N. 39 — 40. Płaszczyk z peleryną dla małéj dziewczynki. Płaszczyk ten na podszewce watowanéj, przestębnowanéj w kwadraciki, z peleryną podszytą listewką do ściągania w stanie, przedstawiony z odmiennych materjałów na rycinie 39 i 40, skrojony być może podług każdéj formy puszczanego paletota. Na plecy potrzeba materjał złożyć skośno i dopiero do pasować formę, która jest bardzo szeroka.

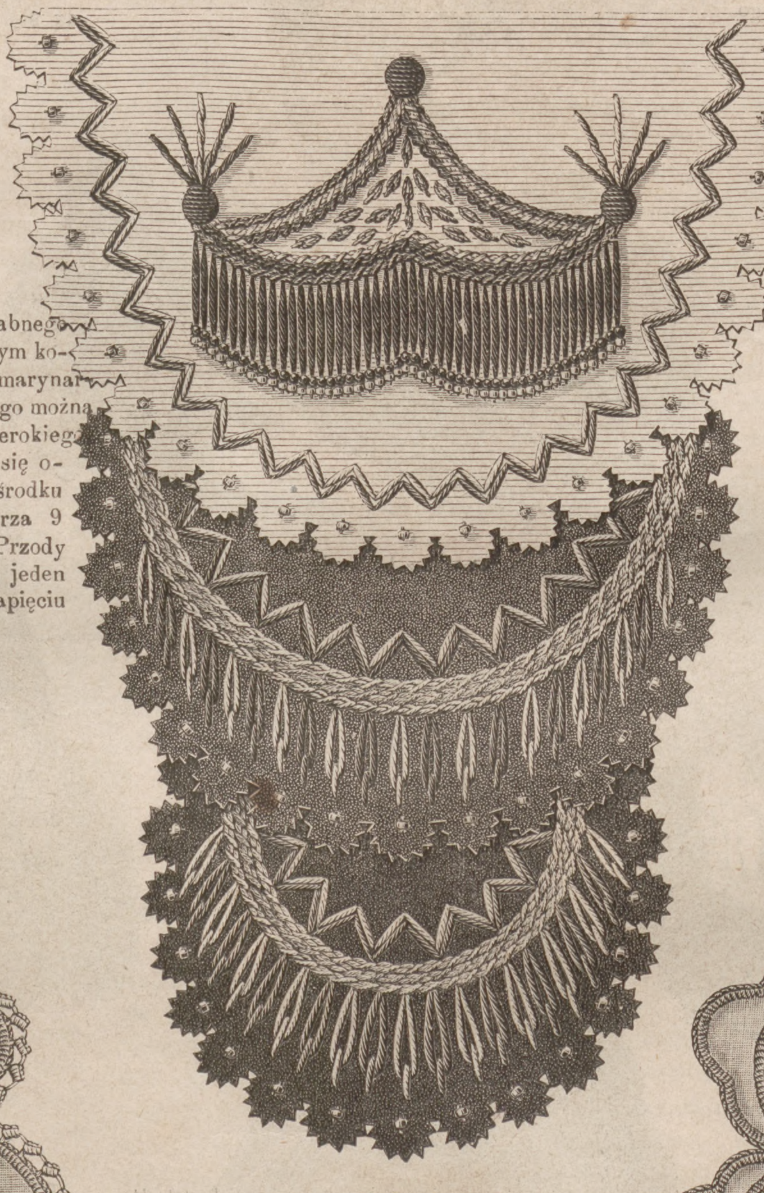
Długość płaszczyka wynosi z przodu 61 cent.; z tyłu 68 cent., cała zaś dolna szerokość obwodu, wynosi 160 centymetrów. Plecy przy 15 cent. szerokości pod szyją liczą 52 cent. od pachy do pachy a u dołu 80 centymetrów. Na plecach wstanie od spodu podszyta jest listewka 3 cen. szeroka do ściągania płaszczyka.



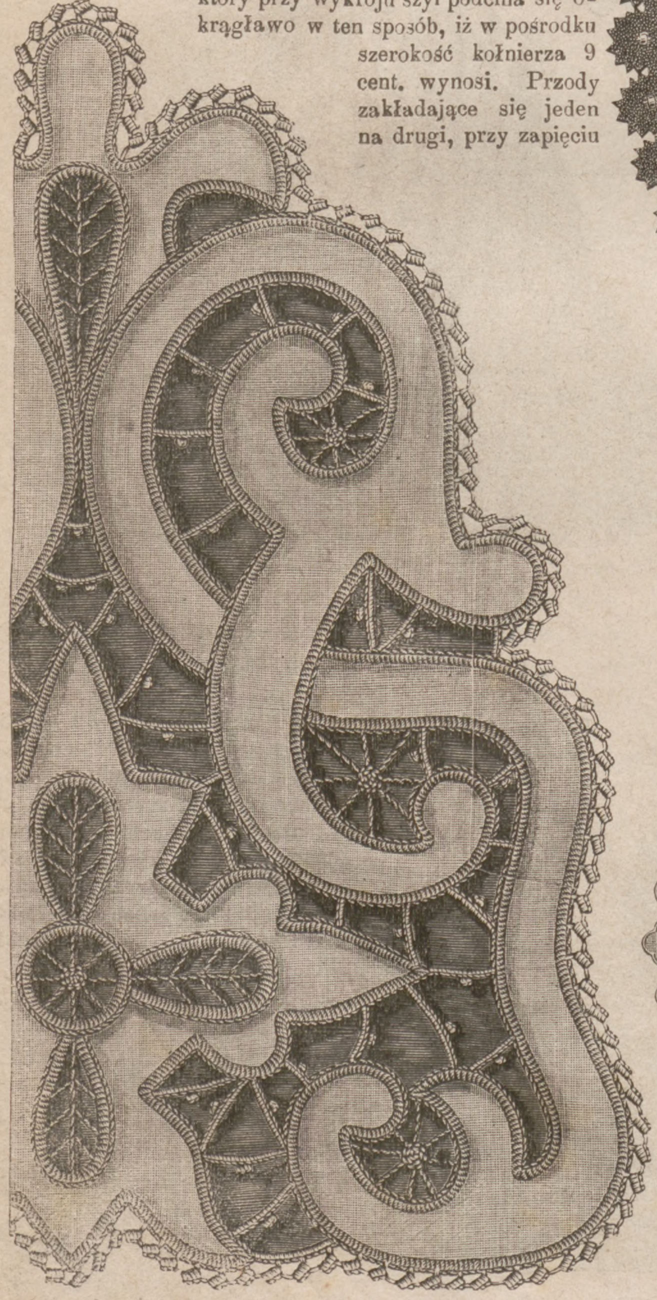
N. 16. Neseserka do robót.

Peleryna podszyta podszewką, z tyłu, jak to N. 40 wskazuje, przecięta u dołu 11 cent. wzdłuż, na założenie wykładów, jest (bez szwu na plecach) krajana z jednego kawałka materjału, złożonego skośnie. Długość jéj wynosi 38 cent. a szew na ramionach jest 10 cent. długi.

Wykrój pod szyją zakończa 4 cent. szeroka riusza siepana, rękawki nawleczone u ręki na elastykę są 30 c. długie, w górze 40 c. szerokie. Dziurki do zapinania płaszczyka odrobione są z mocnego sutaszu, przyszytego wzdłuż od spodu, stanowiącemi pentelki do zapinania. Płaszczyk przedstawiony na rycinie 39 z paskiem do obciśnięcia, odrobiony jest z jednokolorowego materjału, przybrany aksamitem i wyszyciem z sutaszu. N. 40 podaje płaszczyk z pąsowego szkockiego materjału wełnianego. Przybranie peleryny stanowi objęcie



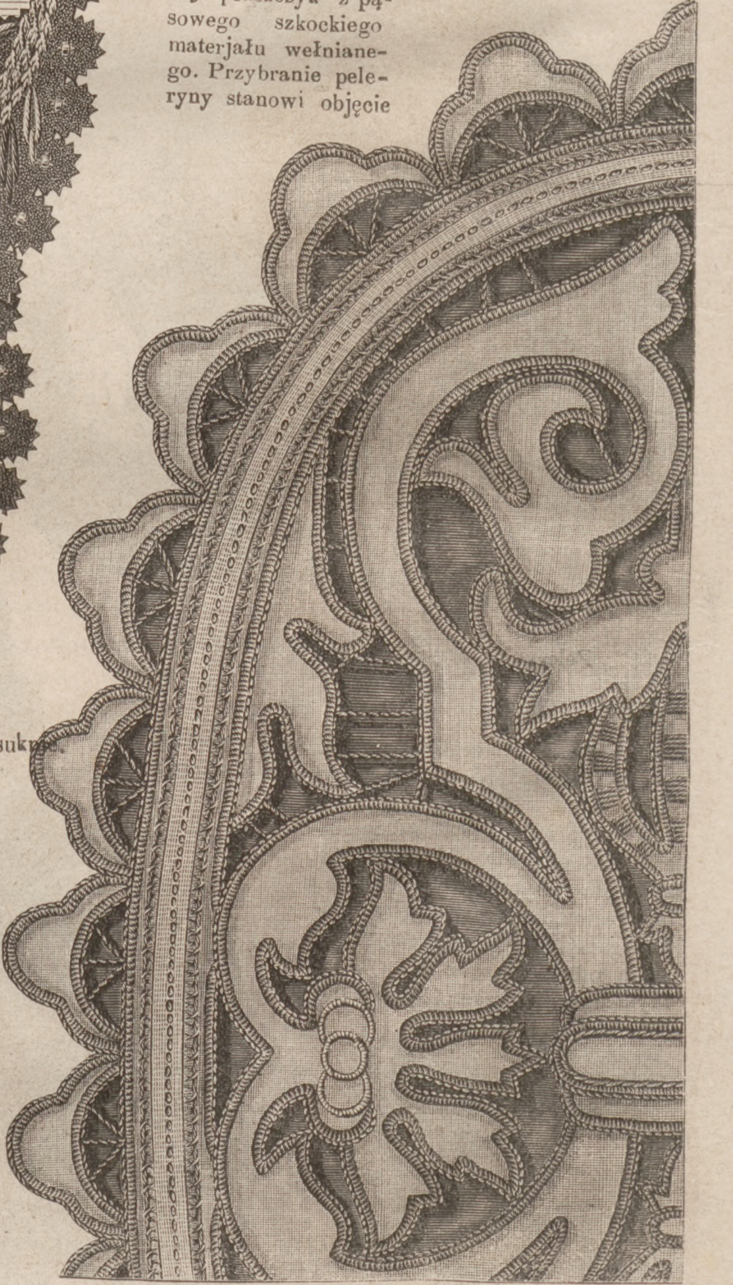
N. 18. Lambrekina. Haft ściegiem luźnym na suk... Do N. 17.



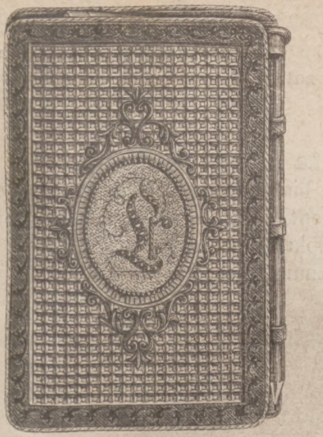
N. 15. Haft dziergany na płótnie (połowa deseniu) do woreczka N. 14.



N. 19. Medaljon. Haft dziergany na płótnie patrz N. 20.



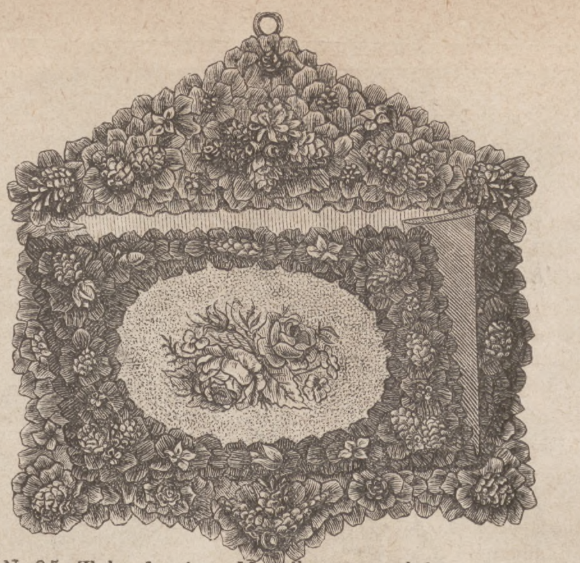
N. 20. Haft dziergany na płótnie do medaljonu. Można również zastosować na lambrekiny.



N. 21. Pugilares na bilety wizytowe. Zamknięty. Patrz środkowe urządzenie pod N. 22.

czarnym aksamitem na 2 cent. szerokości i szamerunek wyszyty środkiem podług ryciny, z bogatego czarnego jedwabnego sznura, zakończonego sutemi kwastami z białéj angory i jedwabiu fryzowanego.

N. 41—43. Ubrania dla dzieci. Podajemy tu tylko wzory ubrań oszywanych futerkiem, a krój bardzo łatwo będzie czytelniczkom dopasować podług zwykłych form tak często podawanych w Tygodniku.



N. 25. Teka do pism. Mozajka z szyszek i nasion leśnych.

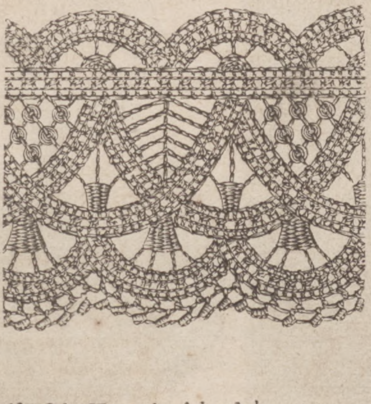
kilka płaskich, na obecnym rysunku wskazanych zębów, oszyć go wstawką i pięknym haftem na tiulu, na który deseń naturalnéj wielkości, przedstawia N. 5. Pod ten haft podkłada się wstążkę kolorową. Końce ukrojone są osobno, ułożone sposobem wachlarzowym w fałdy, przyszyte do chusteczki i razem z nią ogarnirowane szeroką plisowaną koronką. Kokarda z kolorowéj wstążki dodana jest na spięciu z przodu, i na środku górnego wykroju z tyłu.



N. 23. Pugilares kieszonkowy. Zamknięty. Środkowe odrobienie podług N. 24.

Opis do N. 3.

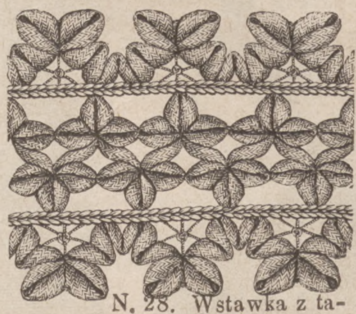
N. 1—2. Kołnierzyk i mankietki z patkami. Prosty stojący webowy kołnierzyk, przyozdobiony jest u góry wązką aplikacją haftu i oszyty koronką marszczoną 2 cen. szeroką. Takaż koronka przydziergana jest do patek haftowanych, sposobem gipiurowym, pod które podkłada się wstążka różowa w atłasie 3 i pół cent. szeroka, ułożona w długi pukiel na końcu w ząb wyciętym. N. 2 przedstawia mankiet odpowiedni kołnierzykowi.



N. 26. Koronka irlandzka. Część kołnierzyka otaczająca szyję. Patrz N. 27.



N. 27. Koronka irlandzka na końce do krawatki. Całość patrz na rycinie 33.



N. 28. Wstawka z tasiemeczki płaskiéj.

N. 6—8. Kołnierzy z wywiniętemi rogamk i mankietek. Szlaczek przy s t o j ą c y m kołnierzyku i mankietkach, oraz wykładane końce, układaj się oddzielnie z ząbków z plecionki, łączy, zapełnia z lewéj strony robotą szydełkową, podług próbki pod N 8 podanéj, i przyczepia nieznacznemi ściegami do listewki kołnierzyka i do mankietków.

N. 9. Krawacik tiulowy. Jak widzimy na wzorze każdy koniec składa się z 7 połączonych kwadratów, równéj wielkości. Robotę zaczyna się od kwadratu środkowego na który odlicza się 32 ząbki, rozdzielone równo na 4 boki; każdy następujący kwadrat musi być zrobiony osobno, a końce tasiemeczki starannie założone i pięknie zeszyte.

N. 3. Kokarda do kołnierzyka lub do sukni. Ze wstążki lub materji w paski, z dodaniem aksamitu lub wstążki gładkiéj, ułożyć można piękną kokardę do kołnierzyka lub sukni, trzymając się wyżéj wskazanego układu. Szerokość i długość kokard i końcy oszytych frendzlą, zastosowana być musi do przeznaczonego celu.



N. 30. Kostium z „vêtement“ i wązkiemi rękawami zwany „Satanella“

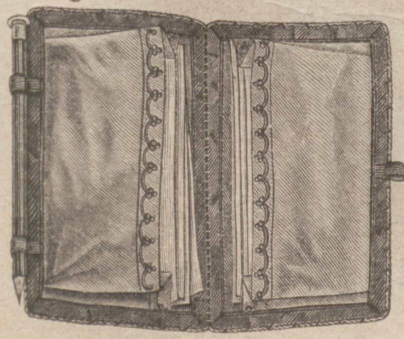


N. 29 Rozeta do wycierania piór.



N. 31. Kostium z „vêtement“ i szerokiemi rękawami zwany „Rosella“.

Potem każdy kwadrat obrabia się w środku szydełkiem, dając ciągle naprzemian 3 o. p. i 1 o. ścisłe. Poczem środkowy zapełnia się o. po. i słupkami, robiąc w rzędach prostych tam i napowrót ciągle naprzemian 2 o. po. i 4 słp. i przyczepiając zawsze na początku i końcu rzędów do brzegów bocznych. Wszystkie dalsze kwadraty obrabiają się raz 1szy jak poprzedzający, 2gi raz s ł u p k a m i przedzielanemi 1 o. po., nakoniec środek zapełnia 8 sł. 3 razy

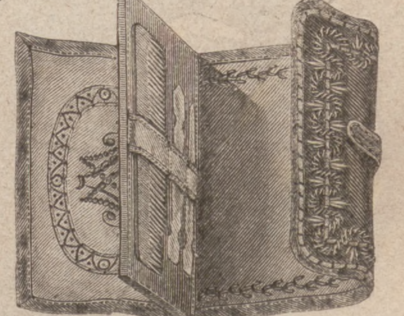


N. 22. Pugilares do biletów wizytowych. Otwarty. Patrz N.21.

N. 4—5. Chusteczka muślinowa przystrojona haftem i koronką. Przykroiwszy chusteczkę podług formy dopasowanéj do figury, trzeba brzeg dolny wyciąć w



N. 32. Fartuszek.



N. 24. Kieszonkowy pugilares otwarty. Patrz N. 23.

nawijanych, u góry 2ma pow. o. przedzielanych. Kółko z tych po. o. utworzone, obrabia się o. ściśłemi. Kwadraty zeszywają się nieznacznie z lewéj strony, obrabiają z brzegów ząbkami z o. po. i oszywają u dołu frendzlą siepaną ze wstążki kolorowéj. Brzegi krawatki oszywa się ząbkami z tasiemeczki, obrobionemi ząbkami szydełkowemi.

N. 10. Berta ułożona z koronek i krepy. Rozety i listki stanowiące środek berty, uszytéj



N. 33. Całość kołnierzyka irlandzkiego i uczesanie z modną siatką.

z szerokich czarnych koronek, układają się z krepy poczwórnéj lub z materji, na pasku sztywnego tiulu. Wykrój stanika i rękawki oszyte są białą koronką; te ostatnie stanowi bufa z białego jedwabnego tiulu, nad którą naszyta jest falbana koronkowa.

Ubranie z białych pereł we włosach i takież perły na szyi.

N. 11—12. Dwie pelerynki do wejścia do teatru. Małe pelerynki w jasnych kolorach tak białe atłasowe jak kaszmirowe, z rozmaitym rodzajem przystrojeń i garnirunków, stanowią ciągle dla młodych osób, najwięcéj używane zarzutki do wejścia na wieczór lub do teatru.



N. 35. Suknia strojna dla młodych osób.

N. 11. Pelerynka wyszyta sznurem jedwabnym. Pelerynka z białego atłasu formy chusteczkowéj, mająca 33 cent. tylnéj a 26 cent. przedniéj długości, jest cała pokryta sutem wyszyciem z białego jedwabnego sznura, i podszyta lekko watowaną, jedwabną pikowaną podszewką. Przody i brzeg dolny oszyte wypustką ze sznureczkiem, 8 cent szeroka krepowana jedwabna frendzla przyszywa się do spodu. Wykrój pod szyją objęty puszkiem łabędzia i zapięty kokardą ze wstążki.



N. 34. Kokarda do kołnierzyka i do włosów.

Dalszy ciąg opisu N. 3, nastąpi w dodatku N. 4 Tygodnika Mód.



N. 36. Woreczek na robotę drutową. Patrz N. 37 i 38.



N. 37. Szlak z szydełkowego sznura do N. 36.



N. 38. Guzik do N. 36.



N. 39. Suknia strojna ze stanikiem pod szyję i rękawami w bufki.



N. 40. Suknia do gorsu (Opis w N. 2 pod ryciną 2).